



ODRODZENIE

T Y G O D N I K

Nakład:
40.000
Redakcja:
Jaszyńskiego 16
Administracja:
Jaszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 25 lipca 1948 r.

Nr 30 (191)

JERZY ANDRZEJEWSKI OTRZYMAŁ NAGRODĘ „ODRODZENIA”

Jury nagrody „Odrodzenia” w składzie: Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka i Stefan Żółkiewski na posiedzeniu w dniu 20 lipca 1948 r. uznało większością głosów za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku powieść

JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO „POPIÓŁ I DIAMENT”

oraz postanowiło przyznać mu tegoroczną nagrodę „Odrodzenia” w wysokości 250 000 zł

Kontrkandydatami do nagrody byli w kolejności otrzymanych punktów:

- | | |
|-----------------------|-------------------------|
| 1. ADOLF RUDNICKI | — „Szekspir” |
| 2. TADEUSZ BOROWSKI | — „Pożegnanie z Marią” |
| 3. HELENA BOGUSZEWSKA | — „Czekamy na życie” |
| 4. KSAWERY PRUSZYŃSKI | — „Karabela z Meschedu” |
| 5. LUCJAN RUDNICKI | — „Stare i nowe” |

POZA TYM WYRÓŻNIONO NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI, KTÓRE PODAJEMY W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM:

Kazimierz Brandys — „Samson”
Jerzy Broszkiewicz — „Oczekiwanie”
Halina Maria Dąbrowska — „O Karolu Irzykowskim”
Maria Dłuska — „Wersyfikacja polska”
Stanisław Dygat — „Pożegnania”
Paweł Hertz — „Sedan”
Ludwik Hirszfild — „Historia jednego życia”
Stefan Kisielewski — „Zbrodnia w dzielnicy północnej”
Jan Kott — „O Lalce Prusa”
Wacław Kubacki — „Krytyk a twórca”



Michał Rusinek — „Prawo jesieni” i „Igraszki nieba”
Stefan Szuman — „O istocie i kunszcie poezji lirycznej”
Władysław Tatarkiewicz — „O szczęściu”
Wojciech Żukrowski — „Piórkiem flaminga”
Mirosław Żuławski — „Ostatnia Europa”
Joanna Żwirska — „Cienie ojczyzny”

*

Przypominamy, że nagrodę „Odrodzenia” ufundowała w 1945 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i że pierwszym jej laureatem był Tadeusz Breza, autor „Murów Jerycha”, następnie zaś w r. 1947 Jarosław Iwaszkiewicz za „Nowele włoskie” i „Nową miłość”

JERZY ANDRZEJEWSKI

List otwarty do narodu amerykańskiego

Howard Fast jest jednym z najbardziej postępowych pisarzy Stanów Zjednoczonych. Dwie jego powieści „Droga do wolności” i „Ostatnia granica” zdobyły sobie wielką poczytność zarówno w Ameryce, jak i w Europie. Stając na czele Komitetu Pomocy dla Emigrantów Antyfaszystowskich został wraz z dziesięcioma swoimi współpracownikami postawiony w stan oskarżenia przez osławioną Komisję dla Badania Działalności Antyamerykańskiej i skazany na karę więzienia i grzywny. Sąd Najwyższy odrzucił jego skargę apelacyjną.

Moi przyjaciele Amerykanie!

Chcę zwrócić się do milionów ludzi dobrej woli zamieszkujących nasz kraj, jest z mojej strony w pewnym sensie samozwrotność. Na długie jednak miesiące zamknięta jest dla mnie droga do wszystkich naszych gazet, czasopism i rozgłośni. Spotwarzyć człowieka i nie dać mu możliwości obrony — oto jak w dzisiejszej Ameryce wygląda „wolność prasy”.

Było by jednak z mojej strony niewybaczalnym zaniedbaniem, gdybym nie zabrał głosu w związku z wczorajszą odmową rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych apelacji Rady Zjednoczonego Komitetu Pomocy Antyfaszystowskim Emigrantom. Nie czas teraz cierpieć w milczeniu.

Za kilka dni jedenaście mężczyzn i kobiet zostanie wtrąconych do więzienia. Poniosą oni karę za podwójne przestępstwo. Po pierwsze — że są antyfaszystami, po drugie — że w ciągu długich lat starali się leczyć chorych, nakarmić głodnych, pomóc rannym wojownikom o republikańską Hiszpanię. Za to obwołano ich przestępcami.

Od dwu lat — my, Rada Komitetu Pomocy Antyfaszystowskim Uchodźcom, jesteśmy ścigani, przesładowani i śledzeni; nasi przesładowcy jednak nie potrafili przedstawić nam innych zarzutów, prócz tych, które wymieniliśmy. Zeznania złożone w sądzie pod przysięgą zapelnia setki stron, a przecież nie ujawniono innych faktów prócz tych, które tu wymieniliśmy.

Niektórzy twierdzą, że jesteśmy agentami obcego państwa. Kłamią bezwstydnie. Inni utrzymują, że jesteśmy nastawieni antyamerykańsko. Uważam, że to oni właśnie są antyamerykańsko nastawieni, nie znam bowiem lepszych, bardziej oddanych tym wspólnym zasadom, które wsławiły nasz kraj, bardziej lojalnych Amerykanów —

TADEUSZ URGACZ

GRECKIM GŁOSEM

Ateny defilują. Płyną byki-czolgii.

Amerykanie perfumują sztandary do akcji,

armaty, pancerniki z mordami w greckim morzu,

galopująca kawaleria cywilizacji.

Któż to kazał ukochanej

drugiej półkuli wydobyć z szuflady

te roczniki żelastwa, te freski

zębów stalowych, krwi polykaczki

na ulicach Hellady.

Kauczukowe zelówki piechoty morskiej

i 48 gwiazd idzie Akroplem.

Ateny defilują. Raz — dwa — trzy.

Ateny krwią handlują jak tytoniem.

Tych łuf, tych odlewów z gąsieniczym pyskiem,

tych wężących buldogów pancerek — nie przejrzyś.

Ludzkie zoo, zamorskie chytne anielisko.

Hallo, hallo, uwaga!

U. S. A.

eksportuje

wolność

do Grecji.

To nie prawda.

to nieprawda, że żył prezydent Roosevelt.

To nieprawda, że był już Maraton.

Ateny mają żyły puste.

Nie!, miasto otworzy jeszcze tysiąc żył.

stare przekupki utkną w sprzedaży wina,

patrz jak zawiewa z aorty,

ład się od gór wyrzucił.

Cóż mordy pancerników —

już owocuje socjalizm,

powstaniec, malutki Herakles,

— jego kula nie kłamie —

biegnie sztandar wolności

na Akropolu zatkną,

jak myśmy go zatknęli

na Brandenburskiej bramie.

Pojedynek

29.VII.1667 rok. Mój krewny, Roger Pepys i pan Creed poszli ze mną na obiad i bardzo było wesoło; ale między innymi opowiadali mi o dziwnie śmiałym kazaniu dr. Creyghtona, które miał on wczoraj przed Królem; jako grzmiał przeciw grzechom Dworu, a osobliwie przeciw rozwiązłości, dając przykłady, jak to Dawida całe królestwo za ten tylko grzech rozpusty upadło; i o naszej niebdałości w opatrywaniu zamków, które zostawiamy bez prochu i amunicji w czas, gdy nas Holendrowie naszli; i jako zemsta w nas męstwo starożytnie, żeśmy sobie dali okryty z własnych portów wybierać. A wtem Creed nucił nam opowiadanie historii o wczorajszym pojedynku, jaki się odbył w Covent Garden między Sir H. Bellasem i Tomem Porterem. Warto zapisać dla pamięci głupestwo ich sporu, albowiem to jest obraz tegoż najczystszej postaci, który w tym to Królestwie. Obaj tedy jedli wczoraj obiad u sir Roberta Carra, u którego, jak się zdaje, ludzie tego pią, każdy kto przyjdzie. I owóż ci dwaj, najwięksi między sobą przyjaciele, jacy być mogą na świecie rozmawiali ze sobą a sir Bellases mówił trochę głośniejszym niż w zwyczaju do Toma Portera, udzielając mu jakiejś rady. Ktoś z kompanii, pobok stojący, spytał: „Czy to oni się kłócą, że tak tu głośno mówią?” Sir Bellases, usłyszawszy to, rzecze: „Chciej, mości panie, wiedzieć, że ja się nigdy nie kłócę, tylko kara biję; i miej to za swój obyczaj”. — „Co?” — mówi na owo Tom Porter. — Biję? Chciałbym widzieć w Anglii człowieka, co by mnie śmiało uderzyć!” Na to sir Bellases dał mu po uchu; i wnet zaczęli się tam bić, ale ich rozdzieliłono. Po jakimś czasie Tom Porter wyszedł, a spotkawszy Drydena, pojęcie, opowiedział mu ten interes i że powziął rezolucję bić się natychmiast z sir Bellasesem; bo jeśli zaraz bić się nie będzie, to jutro przyjacielstwo weźmie górę i zniewaga zostanie przy nim; temu chcąc zabiec, prosił Drydena, aby przez jego pacholika mógł wiedzieć, jaką drogą sir Bellases pojedzie. Niezabawem dali mu znać, że kolaska sir H. Bellasesa nadjeżdża; tedy Tom Porter wyszedł z kawiarni, gdzie był siedział czekając na wiadomość, zatrzymał powóz i kazał Bellasesowi wysiąść. — Jakże to — mówi Bellases. — Nie

Z „Dziennika” Samuela Pepysa

OD TŁUMACZA

„Dziennik” Samuela Pepysa, pisany sztyfem w latach 1660—1669 jest znakomitą, jeśli nie najznakomitszym utworem tego rodzaju. O jego trwałości świadczą coraz nowe jego angielskie wydania, z których ostatnie, stanowiące „popularny” ukazało się w roku ubiegłym. Jako obraz ówczesnego społeczeństwa Anglii, a zarazem — wewnętrznych i osobistych przeżyć autora, „Dziennik” jest prototypem wielkich powieści środowiskowych i psychologicznych XIX i początków XX wieku. Sam Pepys łączy w sobie klasyczne angielskie cechy mieszczaństwa, wytrawnego polityka, świetnego administratora i mistrza kompromisu. We wszystkim nadto urasta ponad przeciętność, a zmysł obserwacyjny, wielka wrażliwość na wszystkie przejawy życia, miłość istnienia, upodobanie w sztukach pięknych, poczucie społeczne i bogactwo spraw osobistych — czynią z niego indywidualność zgoła niepospolitą. Co do jego znaczenia w życiu publicznym Anglii, już Macaulay nazywa go „najznakomitszym Sekretarzem Admiralicji w dziejach tego Urzędu”. Arthur Bryant zaś, autor trzytomowej biografii Pepysa, w przedmowie do jej tegorocznego wydania pisał, że Marynarka Angielska, która przyczyniła się do zwycięstwa nad Hitlerem, jest po dziś dzień rządzona według zasad wypracowanych trzy lata temu przez Samuela Pepysa.

Z przygotowanego przeze mnie polskiego wyboru „Dziennika” podaje dwa fragmenty. Jeden z nich podkreśla pewne podobieństwa ówczesnej Anglii do Polski, drugi — pewne między tymi dwoma krajami różnice.

będziesz się na mnie porywał, kiedy wysiadam z kolasy? Czyli będziesz?” — „Nie — odpowiada Tom Porter”. Tedy Bellases wysiadł i obaj do szabel. Kiedy Bellases odrzucił pochwę, Tom spytał go, czy gotów? Tamten odpowiedział, że gotów i zaczęli się bić w przytomności kilku znajomych. Pokrwawili jeden drugiego, a Bellases tak dostał, że boją się, aby nie umarł; i czując się ciężko rannym, zawołał ku sobie Toma Portera, i ucałował go prosiąc, żeby szukał dla siebie wybiegu. — „Bo — mówi — tyś mnie usiekił, ale ja się wezmę na sposób, żeby stanąć na nogach i stać póki ty stąd nie ujdiesz tak, by cie nikt nie postrzegł, bo nie chcę, żebyś był ciagnięty o to, coś zrobił”. I nie wiem, zali Tom Porter uszedł albo nie, ale pokazał Bellasesowi, że sam także jest raniony; i teraz obaj są chorzy, a Bellases — z niebezpieczeństwem dla życia. Dopieroż ci to piękny przykład! Bellases — poszedł do Parlamentu, a obaj ekstradynaryjni przyjaciele!

1. VIII. Byliśmy z państwem Turner na obiedzie u sir W. Pena; podano pasztet ze zwierzyny, który śmierdzał jak sto diabłów. A nie dostaliśmy wiele więcej ponadto, prócz baraniego uda i paru kurczaków. Ale był weseł, a po obiedzie na prośby pań poszedłem z nimi do teatru pierwszy raz od kiedy Holendrowie najechali nasze brzozy. Byliśmy w Teatrze Królewskim na sztuce „Wiejskie obyczaje”. Teatr był prawie pusty — nikt nie jechał tam, bo wszyscy nie widzieli — a sztuka zła. Po teatrze poszliśmy do garderoby, żeby po-

rozmawiać z panią Knipp (aktorka — przyp. tłum.), którą zabraliśmy karetą w stronę Chelsea do Neat Houses i tam w łóż z pnia dębowego siedzieliśmy śpijąc i gadając a jedząc: moja żona była bez humoru, jak zawsze, kiedy ta kobieta (tj. Knipp — przyp. tłum.) jest z nami.

8 VIII. Sir Henry Bellases umarł z rany odniesionej w pojedynku z Tomem Porterem; i piękna to zaiste rzecz słyszeć, jak cały świat gada o nich jako o dwu szalonych, co się pozabijali z kochankami.

Admirał Sir Krzysztof Myngs

26.X.1665. Sir Krzysztof Myngs i ja wodą do Tower; dowcipny i wygadany z niego człek i szczerze mówi o swojej paranteli i że jest synem szewca.

8 VI 1666. (w czasie najazdu Holendrow na brzozy Anglii — przyp. tłum.). Sir Krzysztof Myngs postrzelony w twarz i ramię, w którym kula utkwiła. I Wielki Bóg, jaka melancholia cały Dwór zdjęty, a w ciężkich myślach pograżony o tej ostatniej klęsce (bo to była klęska), gdy tak bardzo i tak nierozsądnie oczekiwaliśmy zwycięstwa.

10. VI. Dziś wieczorem dowiedzieliśmy się, że Sir Krzysztof Myngs umarł ze swoich ran.

13. VI. Będąc proszonym na pogrzeb Sir Krzysztofa Myngsa, poszedłem, ale ciało już wywieźli byli do kościoła. Tedy ja do kościoła i wysłuchawszy nabożeństwa, zostałem aż go pogrzebali. Spotka-

łem tam Sir W. Coventry'ego (którego przywiodła wielkość ducha, żadnej zaś znacznej osoby oprócz niego nie było) i odjechałem z nim jego kolasa; a gdyśmy już w niej siedzieli, zdarzył się ekstrordynaryjny wypadek, jeden z najbardziej romantycznych, jakie w życiu słyszałem i w który ani mogłbym uwierzyć, jeśli bym sam tego nie widział, a było tak: Około tużina udałych, krzepkich, przystojnych mężczyzn podeszło do pojazdu ze łzami w oczach i jeden z nich, przemawiając za resztę zaczął mówić do Sir Coventry'ego: — „Jest nas tutaj dwunastu, cośmy służyli pod zmarłym komandorem sir Krzysztofem Myngsem. I długośmy go znali i miłowaliśmy go. Wszyscy, jeden w drugim, radziłyśmy za niego się ofiarować i za niego się pomścić. Wszystko, co mamy — to nasze życie. Dopyraszamy się łaski, żeby Jego Książęca Wysokość (Książę Yorku — przyp. tłum.) dał nam statek ogniowy (brander — przyp. tłum.); tu oto jest nas dwunastu; niech Wasza Miłość wybierze jednego na komendanta, a którykolwiek to będzie, reszta będzie pod nim służyć; i jeśli możebne, niech Wasza Miłość tak zrobi, abyśmy mogli okazać pamięć naszemu komandorowi i pomścić go”. Sir W. Coventry był tym bardzo poruszony, jako i ja, którym ledwo się mógł wstrzymać od płaczu; i po brał ich nazwiska i tak pojechali, a Coventry rzekł mi, że chciałby poruszyć tym Jego Wysokość (Książę Yorku — przyp. tłum.) jako rzeczą bardzo niezwykłą. Bo prawda jest, że Sir Krzysztof Myngs był bardzo dzielnym człowiekiem i człowiekiem wielkiego znaczenia i najdoskonalszej wymowy spomiędzy ludzi pospolitego rodu; i Sir W. Coventry mówi, że mógłby być najzupełniej naszym takim ciężkim czasach jak nasze. Przyszedł on do wielkiej sławy i w ojczyźnie i poza granicami, w Zachodnich Indiach. Przywiódł swoją rodzinę na drogę wielkości (ojciec jego był zawsze i po dziś dzień jest szewcem, a matka — córka wioślarka na szkucie, czym zwykły był często się pysznić); ale że umarł w takich czasach jak terazniejsze — jego imię i pamięć mogą być wcale zapomniane, tak jakby go nigdy nie było, a nikt z jego rodu nie dojdzie już za jego sprawą do czegoś lepszego; albowiem nie miał on czasu zaprzagnąć jakowychś dóbr dla siebie i umarł raczej biednym niż bogatym.

przełożyła: Maria Dąbrowska

Niedyskretnie wspomnienia

Paryskie wynurzenia Reymonta

3, rue Soufflot. 5.XI.06.
Drogi Panie Reymont! Proszę mi powiedzieć, bardzo dziękuję za wiadomość o pani. Jestem panu bardzo wdzięczny i bardzo miło mi było, że panu udało się dotrzeć do paryskiej kawiarni. Zawsze miło mi było widzieć pana i bardzo miło mi było, że panu udało się dotrzeć do paryskiej kawiarni. Zawsze miło mi było widzieć pana i bardzo miło mi było, że panu udało się dotrzeć do paryskiej kawiarni.

Reprodukowany wyżej autograf znakomitego pisarza znajduje się na pocztówce francuskiej, zaadresowanej: „Monsieur W. Rogowicz, 24 rue Boissonade (XIV) à Paris i opatrzonej stemplem pocztowym z datą 5.11.06 r. 1906. A więc bardzo stare dzieje, sprzed lat 42 z czasów, gdy mając za sobą kilka semestrów medycyny i prawa w Warszawie, rok pobytu na Kaukazie, nagrodzone na konkursie i popularne wśród szwaczek powieści „Zocha” oraz dwa tomiki „drobnych” prozą, wyjechałem na trzyletnie meblowanie sobie głowy intelektualnymi wartościami Francji, do „miasta-swiata” — co zdecydowało o kolorystyce mej umysłowości i kierunku mej skromnej działalności pisarskiej. Ponieważ to są wspomnienia, pozwalam sobie stwierdzić, że rozpoczęte określenie paryskich studiów bliskie obcowanie nie tylko z duchem, lecz i z formą prozy francuskiej nie pozostało bez wpływu na kształty, jakie moje pióro nawykło dawać myśl. Nigdy tego nie żałowałem! Nie żałuję, że troska o jasność myśli i plastyczność stylu odpychała mnie zawsze od wszelkiego mętniactwa, treści czy formy. (Przepraszając za tę autobiograficzną dygresję, sądzę, że może ona być pożyteczna np. autorom mego nekrologu w czasopiśmie literackim: oszczędzę im suszenia sobie głowy i gryzienia wiecznego pióra — co podobno nie jest zdrowe). Przed mým wyjazdem za granicę, właśnie w lipcu 1906 roku, Reymont, którego znałem osobiście, gdy byłem jeszcze w gimnazjum, doradził mi, na letni pobyt, małą rybacką osadę nad Atlantykiem, w południowej Bretanii — gdzie sam spędził kiedyś czas kanikuły w Paryżu. Bardzo mi byłem wdzięczny za ten wybór i chciałem mu podziękować po powrocie z owego Le Pouldu, gdy mi się je-

sienią zainstalował na dobre w Paryżu, z żoną, roczną córeczką i starą nianią, kmiotką z Podlasia, której przez trzy lata „Paryż nie chciał się podobać” — jak lapidarnie streszczała stale swe wrażenia ze stolicy Francji, tęskniąc za warszawską „Starówką”.

W związku z chęcią utrzymania kontaktu z Reymontem, wówczas już sławnym pisarzem, choć miał dopiero lat 38, autorem pierwszej części „Chłopów” (całość wyszła w latach 1904—1909) nastąpiły po ostryżaniu przeze mnie reprodukowanej pocztówki, dość częste nasze spotkania w owej „Taverne du Pantheon” w dzielnicy Łacińskiej, gdzieśmy obaj mieszkali.

Kiedyś, podczas pogawędki rozmowa zeszła na temat wewnętrznych stosunków pisarza do już ukończonego dzieła. Reymont, który wówczas pracował nad dalszymi częściami najgłośniejszej swej powieści, powiedział z właściwą sobie dosadnością w porównaniach: Dla mnie rzecz napisana już nie istnieje i myślą do niej nie wracam. Traktuję ją odtąd, jak alfonsa traktuje dziewczę. Skończyła się miłość. Teraz chodzi o pieniądze. — I po chwili: — Was, początkującego pisarza, to pewno razi. Uważacie to za cyniczne?...

— W każdym razie za dziwne — odparłem ogólnie. — Przecież poza korzyścią materialną musi u twórcy być jakiś stosunek uczuciowo-moralny do własnego tworu. Tak mi się zdaje...

Autor „Chłopów” milczał chwilę, po czym rzekł innym już, mniej arbitralnym tonem, z odzieniem jakby żalu do czegoś nieuchronnego:

— Stosunek, o którym mówicie, może trwać, póki twój jest we mnie. Ale to, co dla czytelników zaczęło

żyć — dla mnie jest już nieżywe. Zboże zwiózłem do stodoły.

— Moment oddania do druku jest więc dla pana momentem radości?... Czy może tylko ulgi, że trud się skończył?...

— Nie zastanawiam się nad tym — odrzekł wymijająco — bo natychmiast rozpoczyna się we mnie ferment nowego pomysłu. Laboratorium ani chwili nie próżnuje... Czasem ten proces zaczyna się już podczas kołowania rzeczy, nad którą pracuję. To ciągłość...

— Jest normalna, myślę dla każdego rasowego pisarza — przerwałem mu.

— Właśnie właśnie...

Niemniej jest faktem, że niektórym rasowym pisarzom trudno jest rozstać się ze swym dziełem, dlatego tak zwlekają z wypuszczeniem go w świat, z oddaniem, że tak powiem, od swych trzewi. A jednak są to wielcy pisarze...

IAN SMUTEK

PTAKI OGNI

Ja trzcina o wątlej łodydze
lepszymi co moich oczyma
widziałem, notą widzę,
jak czas się, w tym miejscu zatrzymał.

Dom z dołu płomienie dźwigały,
piętami się walił pod stopą,
a ptaki w chałatach z sił całych
oszalałe gonili ku stropom.

Dach bębnił piętami na alarm:
syn pierwszy jak Ikar poleciał,
dogonić go matka się stara,
potem ojciec — leca przez stulecia

w lej ognia i do dna rozpaczę.
A tłum, co w kieszeniach miał dłonie,
odwrócił się Wiosnę zobaczył,
Dłoń położył na czole. Niech płonie.

Czy jesteś już członkiem
Klubu Literackiego
„ODRODZENIA”?

A. M. SWINARSKI

BALET DOMU WOJSKA POLSKIEGO



Mikolaj Kopinski

1

Po wielu zapowiedziach, po długotrwałych naradach, selekcjach i próbach, po kilku homeopatycznych próbkach publicznych, pokazanych dla podniecenia w nas ciekawości i apetytu, wystąpił narazie, zapowiadany picassowatym afiszem, wpraw na Wawel w ramach „Dni Krakowa”, a teraz w Warszawie — Balet Domu Wojska Polskiego.

Już z jego pierwszego popisu nie trudno wywróżyć, że balet ten będzie mógł nosić nazwę **Baletu Polskiego**. Nie szafujemy takimi tytułami jak „balet narodowy” lub „balet reprezentacyjny”; nadużywano ich przed wojną dostatecznie. A tytuł „Balet Polski” jest zaszczytny — i odpowiedzialny.

Ze względu na ważkość wydarzenia wymieniamy nazwiska wszystkich, którzy ten balet tworzyli. Kierownik zespołu artystycznego Domu Wojska Polskiego (orkiestra, chór, balet): Teodor Ratkowski. Kierownik artystyczny: Jan Zelnik. Dyrygent: Teodor Ratkowski i Marian Lewandowski. Baletmistrz: Mikolaj Kopinski. Scenograf: Marian Bogusz. Tancerze i tancerki (w porządku alfabetycznym, bez uwzględnienia szarzy, stopnia czy klasy): Zbigniew Cichocki, Antoni Kalinowski, Zbigniew Kiliński, Wacław Łukasiak, Kazimierz Maciaszczyk, Władysław Milon, Władysław Moran, Maksymilian Mróz, Edmund Nowak i Kazimierz Redzisz; Krystyna Buddecka, Lucyna Drzewiecka, Stanisława Górzynska, Halina Koszałkówna, Irena Koszałkówna, Halina Maculewicz, Zofia Malinowska, Alicja Marczak, Maria Palulis, Florentyna Puchówna, Wiesława Sadurska, Lidia Skrzypkówna, Krystyna Sosnowska, Krystyna Stankiewicz, Halina Sciborówna, Władysława Vetterówna, Henryka Zaborowska i Natalia Żukow.

Należy przypomnieć, że z tego zespołu baletmistrz Kopinski, Puchówna, Kiliński i Mróz należeli do Baletu Polskiego, który zorganizowany przez Arnolda Szyfmana i Bronisławę Niżyńską, wytańczył Grand Prix na paryskiej Wystawie Światowej w roku 1937. Inni byli członkami Baletu Parnella w okresach jego największej dojrzałości.

2

Tak się już składa, że literaci dają się patrzeć na odtańczoną literaturę. Kto miał sposobność oglądania „obrazów tanecznych”, jak „Kuszenie szatana” albo „Lech, Czech i Rus” w ostatnim programie Parnella, ten nas zrozumie. Toteż z pewną obawą czekaliśmy na „Janka muzykanta”, fantazję baletową na temat noweli Henryka Sienkiewicza (Libretto i insceni-

zacja Zelnika, Kopńskiego i Bogusza).

Ale nie jesteście uparci. Bo okazało się, że inteligentny literat, kulturalny choreograf i pomysłowy malarz potrafią dokonać nawet tak ryzykownej próby, jak przetransponowanie cikliwej noweli na balet. A wybrnęli z ryzyka po prostu w ten sposób, że nie zostawili z Sienkiewiczem prawie nic: w noweli Jankowi nie udaje się ukraść skrzypiec, w baletcie owszem; w noweli Janko nie potrafi urzeczywistnić swych marzeń, w baletcie owszem — przynajmniej na długość... jednego baletu; w noweli Janko umiera zbity i skopany, w baletcie (jak głosi komentarz autorów w programie): „Janko wraca do lasu, gdzie mu nikt nie przeszkodzi przynajmniej marzyć o muzyce”. To co prawda nie „happy end”, ale też nie melancholijny finał noweli: „Nad Jankiem spływały brzozy...”. Jeżeli w ten sposób podchodzi się do literatury, to można ją nawet odtańczyć...

Drugie ryzyko: tytułową partię powierzono młodzieńskiemu tancerzowi, Edmundowi Nowakowi (bratu pysznej Janiny, na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet).

Gdy krótko przed pierwszą wojną światową Balet Rosyjski w Paryżu nosił się z zamiarem wystawienia nowego baletu Ryszarda Straussa „Legendy o Józefie”, długo debatowali baletmistrz nad tym, w czyje ręce i nogi oddać rolę chłopięcego pastuszka Józefa (chodzi o tego kuzzonego w Egipcie przez Putyfare): czy dać ja staremu, rutynowanemu wyde, który na pewno zatańczy doskonale, ale

Edmund Nowak miał to szczęście, że nad pierwszymi jego krokami, czyli „pas”, czuwał Kopinski i do tej pory nie wypuścił go spod swojej opieki. I Kopinski zarzykował. Nie wiem, czy ten balet napisano specjalnie dla Nowaka; ale warto było to uczynić. Nowak jest wyjątkowo muzykalny, żywiołowy, precyzyjny w robocie, a jego skoki będą wkrótce takie sławne jak skoki jego pysznej siostry Janiny (na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet i Kopinski).

Zwracam uwagę na dobrą koncepcję baletmistrza: grę na skrzypcach kazał Kopinski tancerzowi wyolbrzymić ruchami całego ciała, kazał odrywać często smyczek od skrzypiec, jak gdyby mu one nie wystarczały, i szukać strun w powietrzu, kazał dyrgować nie grać — i to wszystko właśnie czyniło z muzyki Janka wyrazistą, pełną głębi metaforę.

Wywołała ta muzyka, na seansie sennym i na jawie, postaci z różnych stron Polski i złączyła w symbolicznym korowodzie. Oslabił jego siłę niestety sam finał, króciutki, na szczęście, dorzucony topat... jak gdyby się autorom baletu nie w porę przypomniał Sienkiewicz. Po co niweczyć zwycięstwo Janka i jego muzyki? Po co jasną wypowiedź utworu banalizować takim morałem? Po co stawiać kropkę nad takim „i”, którego już nie ma w naszym alfabecie?

Muzyka Janka wywołała na scenie prawie cały komplet baletu: zwinną trójkę zbrojników: Kilińskiego, Maciaszczyka i Milona; wywołała Krakowiaków, Mazurów i Łowiczan — naszych starych znajomych i kilku nowych do najmłod-

chiego, jednej z jego jedenastu zapomnianych z kretesem oper, jest szczególnie głupkowaty. Coś się tam rozgrywa między ciemną panią, przebraną za „Noc”, bo ma gwiazdki na czole, a jasnym panem, przebrany pewnie także za „Noc”, bo ma na czole półksiężyc. Dokoła nich kręci się mnóstwo postaci, przebranych nie wiadomo za co — niektóre są zafrasowane i stawiają figlarne kroczki, niektóre skaczą, a niektóre obnoszą się nawzajem po scenie. Wszystko kończy się chyba dobrze bo finał zamienia się w wielką orgię radości — i oddychamy z ugię, że państwo „Noc”, on i ona, doszli ze sobą do porozumienia.

Ale przyjemnie patrzeć na piękne ciała i na ich jakże trudne, jakże mozolnie wyuczone, a jakże nieczytelne dla ogółu publiczności pozy i kroki. Mniej to efektowne niż taniec ludowy, a różni się od niego na ogół tym, że w tańcu ludowym przeważa element męski: samiec tokuje dokoła samicy — zaś w baletcie klasycznym górują panie, podczas gdy panowie przeważnie biorą na siebie role tak zwanych tragarzy.

„Giocondę” wykonano bardzo precyzyjnie i zgrabnie. Halina Maculewicz i Władysław Milon są „Nocami”, że jeno marzyć Florentyna Puchówna, Maria Palulis, Krystyna Stankiewicz i Krystyna Sosnowska tańca swoje „allegro” w dobrym tempie, a tej ostatniej należy gorąco gratulować. Że dostała się nareszcie w ręce solidnego baletmistrza. Gdy czwórka wgalopowała ze skrzyżowanymi rękami na scenę, sąsiadka moja szepnęła z oburzeniem: „A cóż to za kabaret!” Tymczasem wiadomo,



Stanisława Selmówna

Pieśni Jana Zelnika w tym baletcie były podobno bardzo ładne. Tak mi przynajmniej zaręczyli w sekrecie śpiewacy. Bo słów nie mogłem zrozumieć, ponieważ były przez orkiestrę rozegrane i przez tancerzy rozstupane doszczętnie.

Scenograf — surrealistą czuł się — o dziwo! — najlepiej właśnie na tym weselu. Kostiumy wystylizował pięknie, zmianę dekoracji przeprowadził w mgnieniu oka... ale, że już lubię szukać dziury na całym: chałupa powinna być raczej na zewnątrz niebieska, a na wewnątrz biała...

Proszę się nie dziwić, że czepiam się wciąż drobiazgów. Lecz drobiazgi widzi się tylko na obiektach dużych, na drobnych się ich nie go należy uważać za obiekty duże. spostrzega Balet Polski Kopńskiego go należy uważać za obiekty duże.

5

Jak dalece udał się pierwszy występ baletu, tego miara jest nie tylko entuzjastycznym widzów i zgodny chór pochwalny recenzentów. Niepokojącym efektem sukcesu są więc, wysłane od dyrektorów z różnych stron Polski do kilku członków zespołu: „Chodźcie do nas, zapłacimy więcej!”

A powinno być raczej przeciwnie: Balet Domu Wojska Polskiego niech rozsyła wici do tancerki i tancerzy, niech ich ściga z całego kraju i wzmacnia swoją ekipę. Narzekałem nieraz (w „Odrodzeniu” i „Dzienniku Polskim”), że nasi najlepsi tancerze marnują się po rewiach i kabaretach. I wręcz mamy balet, który może dać i w dużym stopniu już dał tym artystom możliwość pracy w najbardziej sprzyjających warunkach artystycznych i finansowych. Zgromadził drużynę tak silną, że może wypełnić połowę, powiedzmy nawet: dwie trzecie wieczoru swymi produkcjami. Na razie więc występuje wraz z chórem, zresztą pierwszorzędny, i osobnej recenzji Zygmunta Mycielskiego godnym. Ale taka symbioza baletu i chóru to trochę jak w świetlicy. Trzeba tedy zespół baletu powiększyć, i mógł występować samodzielnie. I pomyślmy tylko, jakby na przykład zyskał „Janko muzykant”, gdyby dworskiego menueta tańczyła nie jedna para ale dziesięć par; jakby wówczas wyudał się kontrast dwu światów.

Przyznaję, że i operetka nie może obyć się bez okraszy baletu. Ale czy taką okraszą musi być aż sam Wójcikowski, tancerz, który kolegowal z Miazinem i Niżyńskim i który nabrał pewnie więcej laurów zagranicznych niż wszyscy nasi tancerze razem? Jest to widok upokarzający i smutny, gdy w drugim akcie „Jadzi wdowy” Wójcikowski nagle wychodzi z komody i wraz ze swą partnerką, która wyszła z „nachaskasika”, zaczyna tańczyć klasycznego walc... Artym i doświadczenie Wójcikowskiego powinny raczej służyć baletowi tej miary co balet Domu Wojska Polskiego.

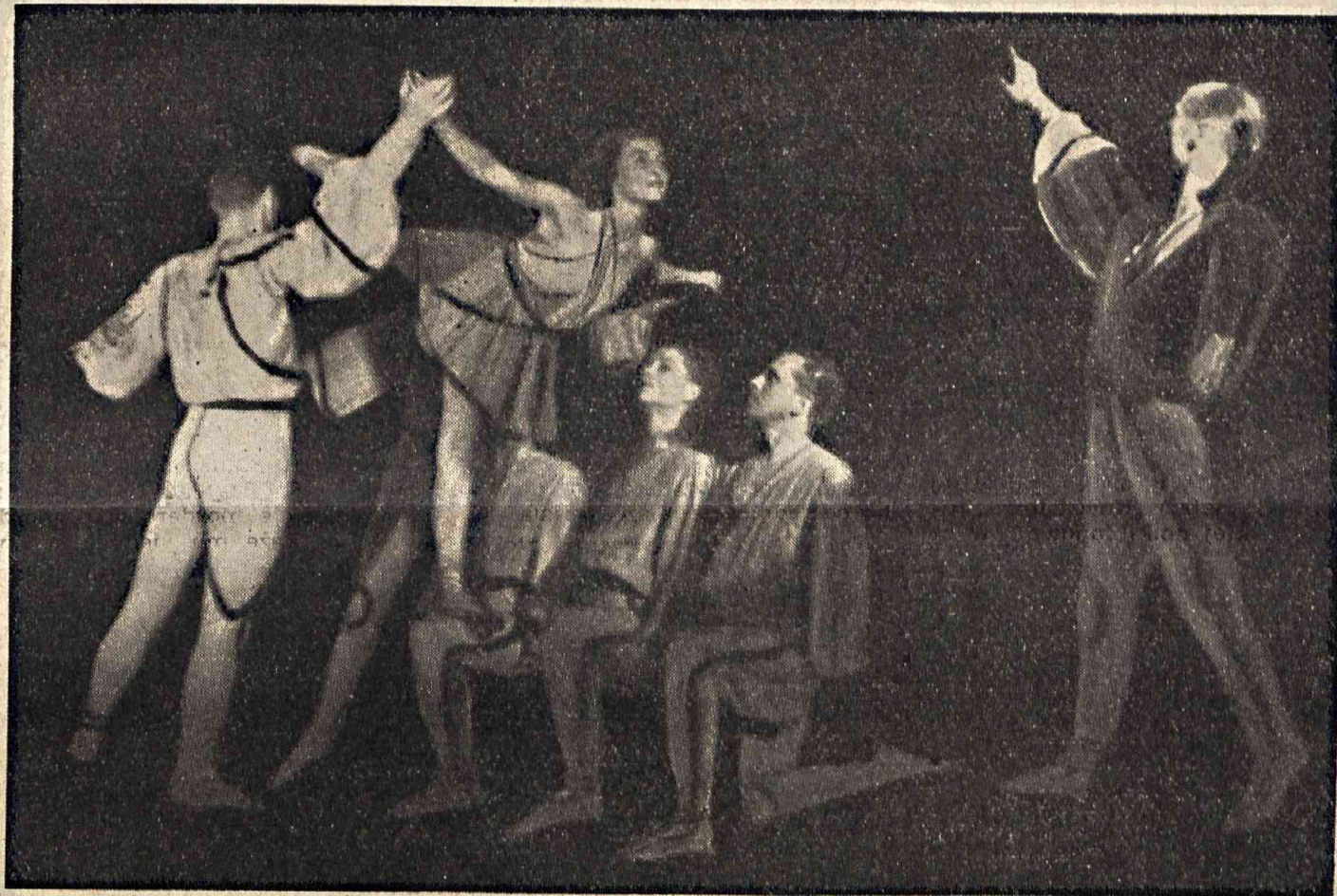
A dlaczego od dłuższego czasu jakaś tajemnicza mgła połknęła gwiazdę pierwszej jasności, Stanisławę Selmównę, tancerkę klasyczną, jakich mało na Słowiańszczyźnie? (a w kwestii tańca tylko Słowiańszczyzna się liczy). W baletach operowych przyjął się system jednej primabaleriny. I może taka samotna wielkość wystarczy, gdy chodzi o wkładki baletowe. Ale zespół o szerokich ambicjach powinien sobie naciągać dużo tancerzek dobrego gatunku. Powinien przeszkukać wszystkie złośliwe mgły, aż znajdzie i przywróci scenie zabłąkaną gdzieś Selmównę.

I podobno Kwapiszewska tańczy w jakimś nocnym kabarecie. Dyktatorską indywidualność Kwapiszewskiej może trudno pomicieć w zespole. Ale wieczory baletowe mogą zaprezentować przecież i „so-

łóWKi”; a dla takiej Kwapiszewskiej warto by chyba napisać nawet balet zastosoany do jej stylu, a chociażby do jej kaprysów. Z drugiej strony, dobry smak baletmistrza uchroniłby tę artystkę od kiczu, do którego, niestety, ma chwilami pociąg. Na jednym ze swych występów w roku 1945 odtańczyła mi mniej ni więcej, tylko... drugą Wojnę Światową! To było po prostu groźne i po skończonym numerze odezwały się na widowni głośne kpiny, że, owszem, zdobyć Tobruku odtańczyła nieźle, ale „V 2” szwankowało itp. Okazuje się, że kobiet nie można puszczać samopas, nawet artystek o formacie Kwapiszewskiej; trzeba mądrego meskiego mózgu który czasem pomyśli za nie (Zresztą i ten taniec ma swoją tradycję. Przecież kiedyś Parnell i Zizi Halama odtańczyli wojnę domową w Hiszpanii! Hiszpanią była Halama, Parnell zaś synem Hiszpanii. Jakaś tancerka w stroju siostry Czerwonego Krzyża schylała się w płaszcach nad miewidzialnymi ranami, a „wampirzy wojny”, Maciaszczyk, Woliński i Rudzki, w trykotach kapiełowych, rekawiczkach i melonikach kłaniali się „baletow Jossasa Na szczęście nie odtańczono pułkownika Cwikala).

Niechaj tedy dyrektorzy nie starają się rozbijać baletu Kopńskiego, bo będziemy go bronić — co prawda tylko tymi skromnymi środkami, którymi dysponujemy ale i to wystarczy, oho! (proszę powyższą uwagę uważać za szantaż) I niechaj Kopinski pamięta o przyszłości baletu Domu Wojska Polskiego. Niechaj szuka i angażuje. Chcielibyśmy u niego widzieć konstelacje najjaśniejszych gwiazd (wraz z pyszną Janiną, na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet i Kopinski. i niżej podpisany, autor baletu „Afrodyta”, przeznaczonego wyłącznie dla niej).

Artur Marya Swinarski



„Gioconda”

wyglądać będzie jak dorosły pastuch, a nie jak chłopięcy pastuszek; czy też raczej młodemu uczniowi szkoły baletowej, który miast rutyny wniesie wdzięk i świeżość. Zdecydowano się powierzyć Józefa siedemnastoletniemu szczeniakowi. I w dużej mierze właśnie dzięki temu szczeniakowi paryska premiera „Legendy o Józefie” była europejską sensacją artystyczną — wprawdzie nie taką jaką premiera „Hernaniego”, ale przynajmniej taką jaką premiera „Chanteclaira”. Szczeniak siał się nagle sławny, a dziś jego nazwisko figuruje tustym drukiem w dziejach baletu. Brzmi ono: Leonid Miazin.

szych Łukasiaków i Cichockich, a wszyscy byli tak ze sobą zgrani, że chwilami nie potrafiliśmy odróżnić starych od nowych: — tańczył po prostu zespół, karny i jednolity... a o to właśnie chodziło w tej „fantazji baletowej”.

Muzykę do „Janka” napisał Zyg-niejednokrotnie pracował z Parnell-munt Wiehler, który przed wojną lcm i wie, jak należy pisać do tańca. Mam zastrzeżenie tylko do menueta (odtańczonego przez Morana i Górzynską). Ta scena powinna się orkiestralnie różnić od reszty baletu. Różnicy w „Panu Twardowskim” (Janiec małych Krakowiaków) wprowadził delikatną muzykę przypominającą pozytywkę. Podobny akompaniament należało może zastosować przy menuecie, a nad dźwiękami pozytywki pozwolić mocną melodią górować skrzypcom, wymarzonemu przez Janka instrumentowi. — Niestety, dyrygent „Janka muzykanta” często zwalniał tempo, co jest dla tancerza zabójcze. Wiem od archaiołów i Janusza Meissnera, że bardzo trudno utrzymać się w powietrzu dłużej, niż na to pozwala prawo grawitacji. Co prawda dobrzy tancerze mają z prawem grawitacji jakąś specjalną umowę, ale nie mogą sobie na to pozwolić, by paleczka dyrygenta trzymała ich w nieskończoność nad podłogą.

Scenograf — surrealista Bogusz trafnie odrealizował koloryt kostiumów ludowych w wizji Janka Tego rodzaju inwencje rozwiązują w znacznej mierze problemat oświetlenia, pozwalają na wyeliminowanie tak zwanego „księżyca”, bo dusza sceny jest, jak nam to stale uzmynawia Daszewski, światło białe, nie kolorowe. W scenie menueta powinien być zresztą oświetlony tylko pawilon, by Janek mógł się zakraść z ciemności do jasnego wnętrza, a nie przeciwnie.

3

Balet klasyczny jest najbardziej uroczym nonsensem choreografii. A zgola balet z poczciwej staruszki „Giocondy” (1876) Amilcara Pon-

że nie tylko pas i pozycje, ale także pewne figury zespołowe przechodzą tradycyjnie z jednego baletu do drugiego. I to „allegro” przywędrowało do naszej „Giocondy” z roku 1878 z Moskwy, z „Łabędziego jeziora”. Na rozkaz Petipy i Iwanowa tańczyły swoje „allegro” cztery „młode łabędzie” w drugim akcie tego baletu z tak samo skrzyżowanymi rękami. I z tak samo skrzyżowanymi rękami tańczyły je cztery angielskie tancerki z „The Sadler's Wells Ballet”, w drugim akcie „Łabędziego jeziora”, ubiegłego roku na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. I od roku 1878 nikomu nie przyszło do głowy, że to kabaret...

Tradycyjne kostiumy klasycznego baletu zreformował scenograf-surrealista nie zawsze z korzyścią dla sylwetki tancerki i tancerzy. Czarne pasy, szczególnie na trykotach, deformują nogi wraz z przyległościami.

4

Ostatnią część tryptyku baletowego, „Wesele na wsi”, opracowali muzycznie Teodor Ratkowski i Stanisław Wysocki według Kurpińskiego i Damsgo. Było ono nieco przydługie i rytmicznie zbyt monotonne. Tym bardziej że podobnych „Weseli” widzieliśmy już dużo.

Temperament co prawda dopisał zespołowi aż do końca. Para młoda (Kiliński, Puchówna), drużbowie i druchny (Maciaszczyk, Mróz, Sosnowska, Vetterówna) i goście weselni tańczyli do siódmych potów jak na prawdziwym weselu.

Na kilka ładnych szczegółów pragnę zwrócić uwagę. Otwierający się szpaler gości weselnych, przyjęcie młodej pary przez rodziców (Natalia Żukow i Kalinowski) bez tekturowych rekwizytów, wyobrażających chleb i solniczkę, to pomysły nader szczęśliwe. Jako też i wprowadzenie panny siostrzyczki (Halina Koszałkówna), która urozmaica zabawnymi gierkami obrzędy weselne.



Leon Wójcikowski

W poprzednim 29 (190) numerze „Odrodzenia” z dnia 18 lipca 1948 roku: z „Iluminacji” Artura Rimband (przełożył Jan Kott); Barbarski. — Antyczny — Królewskość. — Bottom — Alchemia słowa. — Julian Przyboś: Słaby i mocny wiersz — Erskine Caldwell: Rachel — Wacław Rogowicz: Niekłopotne wspomnienia. Drzewo kamforowe i drzewo genealogiczne. — Wojciech Natanson: Jubileusz Teatru Polskiego. — Tadeusz Brzecz: „Wielki różdżkarz”. — Jan Kott: Awans pokoleń. — Jan Huszcza: Notatnik: Pocztówka z Wistly Nocleg — Stanisław Jerzy Lec: — Wojciech Zukrowski: Reka ojca — Emmanuel Mounier: Europa i germanizm — Stanisław Szeniec: Najdawniejsze widoki miast polskich. — Kłw.: Zaczepki: Pafawag — omtur omtur — pafawag, czyli o sztuce przyznawania nagród. — Książki: Poezja („Młoda Polska”, Wybór poezji w opracowaniu Tadeusza Żeleńskiego Boya). Beletrystyka („Czekamy na życie” Heleny Boguszewskiej „Wróciłem z USA” Ilii Erenburga). — Zygmunt Mycielski: Notatnik muzyczny. Złoty medal olimpijski za symfonię Zbigniewa Turskiego. — Film: Jerzy Pławewski: Rosanna z siedmiu księżyców. — ee: Drobiazgi: Anakolut. Stanisław Jerzy Lec po niemiecku. — Z teki dr Prota Sowidzka. Satorya zubrawców (podał do druku: Wacław Kubacki). — Camera obscura. — 21 ilustracji — 8 stron.

HELENA DEVECHY

Kornel Ujejski w Paryżu w roku 1848

I
Młodzień wszystkich krajów i wszystkich czasów zawsze chętnie ciągnie za granicę, chociażby na krótko. Jedni dla nabycia wiedzy, drudzy dla przygód i nowych wrażeń.

Dwudziestodwuletni Kornel Ujejski, zdobywający pierwsze listki wawrzynu, marzył o podróży do stolicy świata. W jego bujnej wyobraźni Paryż jawił się jak zaklęty pałac z tysiąca i jednej nocy; pościagała go wielka niewiadoma wrażeń i przeżyć. Podróż ta wydawała mu się oknem na świat.

Drapując się w świątyni greckiej uszyty przez miejscowego, domorosłego krawca według bajronowskiego wzoru, w bezsenne noce w swą izbę zdebał na poddaszu rodzicielskiego domu odkrywał w sobie powołanie prorocze, grzmiał patosem „Skargi Jeremiego”, jako „sługa ludu, syn ziemi natchniony”. To znów skupiony, brał się do przekładu „Antygony” Sofoklesa. Głowa mu paliła, dawała nędzną rzeczywistość gnębiła niewola narodu, dla którego szukał wyzwolenia ducha.

Rodzice, po naradzie z Wincentym Polem, postanowili wysłać syna-poetę na dalszą naukę do Paryża. Jak gorąco przeżył się tą podróżą widać z zachowanych strzępów pamiętnika, których karty przepojone są świeżością doznanych wrażeń, mimo że kreślone czterdziest lat później.

Po rozmaitych trudnościach i kłopotach pieniężnych urzęczywistniała się wreszcie marzenia młodzieńcze. Jedzie do Paryża. Jedzie naturalnie na Kraków. To miasto pamiętek narodowych znał już dawno. Teraz opuszczając kraj rodzinny wybrał się na kopiec Kościuszki, by stamtąd ogarnąć okiem miasto i — jak pisze w liście do matki — zebrać wiew trawy i kilka kwiatów „unosząc z sobą na pokusę paryskie”.

Może to sierpień, może początek września 1847 roku.

Obiecał Polowi, bawącemu wówczas na kuracji w Cieplicach, że go tam odwiedzi. Poeta zatrzymał się więc w Wrocławiu, tradycyjnie pod „Złotą Gęsią”, gdzie się zawsze spotykał znajomych, i odpocząwszy nieco zdążył do Cieplic.

Dni były piękne i ciepłe, nęciły bliskie Karkonosze. Wybrał się więc w towarzystwie sławnego fizjologa czeskiego Purkiniego i jego synów na dłuższą dwudniową wycieczkę, której głównym celem był szczyt „Śnieżki”. Nocowali na szczycie. Najazutrz rankiem trzej chłopcy zajęli się budowaniem z kamieni wielkiej piramidy. W pocie czoła wznosiła budowlę. Zjawia się jakiś Niemiec i pyta co robią? Ujejski wyrecytował w odpowiedzi: „Polsce nieśmiertelnej” — powiada z wyrazem dumy na zaczerwienionej twarzy Jakby w przeciechu tego, co nastąpić miało po lat setce, stawał Ujejski pierwsze słupy graniczne.

O pobycie w Cieplicach i zwiedzeniu osiowości zamku Schaffgotschów wspomina w rok później w odczynie wygłoszonym w Kłodzkiego na czwartku literackim w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie.

Trzeba było jednak myśleć o dalszej podróży.

Wraca więc młody wędrowiec do Wrocławia, robi ostatnie zakupy,

m. i., chcąc może dostojnie wyglądać, kupuje fioletowy szlafrok „z fałszywego aksamitu za psie pieniądze”, z którego jest bardzo zadowolony, i wybiera się w dalszą drogę na Berlin do Brukseli, koleją, a gdzie nie było połączeń kolejowych, doryżansem. Parę dni zeszło na zwiedzeniu Berlina, a potem Brukseli.

Wyjazdy z kraju nie były wówczas łatwe dla Polaków. Władze niemieckie odnosiły się nieufnie do nazwisk polskich i do autentyczności oficjalnych dokumentów. Paszport Kornela Ujejskiego wydobyty przez Darowskiego u dyrektora policji, oślawionej Sachera we Lwowie, opiewał tylko na „Deutsche Bundesstaaten”. Toteż musiał Ujejski przeżyć niemłą chwilę na granicy belgijskiej, gdy do przedziału wszedł żandarm, żądając paszportów. Z całą beczelnością, na jaką mógł się zdobyć, podał mu swój bez wahania. Żandarm przeglądając dokument popatrzył na niego badawczo — a on wymownie na policjanta. Poczuł się człowiek oddał mu paszport z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Porozumieli się oczyma. Duża ilość kolejarzy i służby granicznej brała już udział w ruchu wolnościowym i zdarzało się bardzo często, że zupełnie bezinteresownie pomagali oni Polakom w wydostaniu się za granicę.

W Brukseli był parę razy u generała Skrzyneckiego i z listem polecającym od Bielowskiego u Lucjana Siemińskiego, a z nim razem u Lelewela. Szkoła, że o tych odwiedzinach, jak również o odwiedzinach u Mickiewicza, Słowackiego i Chopina w Paryżu nie podaje dokładniejszych szczegółów w swoich zapiskach. „Bardzo to sprawy ciekawe — pisze — ale gdybym to wszystko pisał, byłaby z tego księga, a ja tylko notatki kładę, hamując się”.

Wreszcie przybył do Paryża i zatrzymał się na razie w Hôtel de France na rue d'Antin. Miał list polecający od Siemińskiego do Walerego Wielogłowskiego. Ten załatwił mu nocleg w kamienicy, w której sam mieszkał, na górnym piętrze najął mu małą stancję.

W parę dni później ukazuje się anonimowo „Chorał” w „Dzienniku Narodowym” — Ktoś z kraju musiał przysłać ten wiersz — tłumaczył sobie Ujejski. Zawrzuła w całej Polonii nad Sekwaną.

— To mój wiersz — powiada Ujejski.

Z niedowierzaniem przygląda mu się Wielogłowski:

— Co? Jak?

— Ja mam więcej takich — dodaje młody poeta. I z pamięci spisał mu wszystkie „Skargi Jeremiego”. Wielogłowski obiecał je wydrukować.

Wielka to była radość dla Ujejskiego. Do śmierci z wdzięcznością wspominał pocztowego Wielogłowskiego, który zaryzykował emigranta swój grosz na pierwsze wydanie „Skargi”. Aby nie zdradzić autora, co było wówczas ze względu na bezpieczeństwo potrzebne i ogólnie praktykowane, jako miejsce wydania podano Londyn. Słowo zaś Rym umieszczono na końcu wierszy miało wskazywać na pobyt autora w Wiecznym Mieście. Jako wynagrodzenie autorskie otrzymał Ujejski ślicznie oprawiony egzemplarz, któ-

ry — jak sam powiadał — był dla niego dyplomem. Książki drukowane przez emigrację w Paryżu rzadko zwracały koszty nakładu.

W jakiś czas potem Ujejski przeniósł się do wygodniejszego mieszkania na rue Vaugirard, naprzeciw pałacu Luksemburskiego. Jest to mały „hôtel garni”, gdzie otrzymuje najprzedniejszy i najobszerniejszy pokój z dwoma oknami na pierwszy piętrze od frontu za cenę 40 fr. miesięcznie łącznie z pościelą i usługą.

Hotellik prowadzony jest przez parę małżeńską M-sieur et M-me Dumas. Pani sprząta w pokojach, pan utrzymuje w porządku garderobe gości i czyści im obuwie.

Niedarmo po powrocie do kraju na pytanie pięknej pani czy poznał w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiedział z nonszalancją: „Ach i jak jeszcze! Dumas ciemki mi czyści!”

Hotellik przepelniony jest studentami, do których przychodzi uroczyste gryzki. Czasem w niedzielę wieczór ogólny pokój jadłalnia zamienia się w salę balową. Ktoś siada do pianina i piękny poeta ze starą panią Dumas tańczy w pierwszej parze kontredansa. Kochają się w nim dziewczęta, dogadza we wszystkim pocieszna pani Dumas.

Ujejski z zapalem bierze się w tym czasie do nauki. Chodzi do bliskiej Sorbony i Collège de France, gdzie słucha wykładów Micheleta. Przygotowuje się do egzaminu. Chce wrócić do kraju z dyplomem „bachelier es lettres”.

Równocześnie zapisuje się do klubu polskiego na rue Heure St. Augustin; chodzi tam na obiady i chwali sobie polskiego kucharza.

VIEZSLAV NEZVAL

przełożył K. A. Jaworski

Aż kiedyś przyjdzie czas że staniesz się przyglucha
Ze będziesz cicho cień nawijając palcem swym
Ze zziębłą ręce twe i będę na nie chuchać
Ze zstarzeje się twój marnotrawny syn

Ze kiedyś ciężar cię przełamie lada puchu
Ze kiedyś złamię też swój dumny kij przez pół
Ze usiadłszy tak jak chromi wrz bez ruchu
Na otomanie tej oparci o nasz stół

I przgarbimy się oboje aż do ziemi

Gdzie załśni nagle klucz (i skąd się wziął tu skąd)
I może wtedy już nie będziemy głuchoniemi
I może wtedy już odrzucim wstyd i błąd

I może powiem ci starszko bez wnuceń

Co by szeptały ci gdybym je tobie dał
Gdzie kłopot skryjesz swój spłoszony myśli watek
Gdzie wstyd ukryjesz swój któremu tak się bał

Czumem nie szukał cię w kobietach miłych oku

Po ojcu pierwsza tyś przez tydzień miesiąc rok

Czumem nie szukał cię gdy byłaś przy mim boku

W gorączkę złazł czas gdy spadał na mnie mrok

Od uczuć bardziej są zabójcze nasze słowa

I ginie echo ich straszliwie i bez sił

Słowa maskują nas co serce jednak chowa

Oboje wiemy to ty rzekł moich żył

Aż kiedyś przyjdzie czas że staniesz się przyglucha

Ze będziesz cicho cień nawijając palcem swym

Ze zziębłą ręce twe i będę na nie chuchać

Ze zstarzeje się twój marnotrawny syn

nał, uszedł parę kroków, aż zawrócił ku wyłotowi uliczki, wtedy wskoczył bokiem na kozioł.

Tramwaje jeszcze chodziły, bo słyszał dzwonić, iskry rzucały długie światła poza drzewami parku. Gdzieś tam stali ludzie przed bramami i weszli już zmianę.

Teraz wyraźniej słyszał było rzekę pojazdów głośno niecierpliwie i sygnali, żelazo szczerkało po bruku. W świetle przyszytych latarni żołnierze mrowili się między autami, widać było machające ręce, wypchane motocyklisty, czasami przegryzmiały motocyklisty i ściszał motor powstrzymany czerwonością tarczki żandarma.



Długie kolumny ze wszystkich ulic cisnęły się na most.

— Niech Jan podjedzie bliżej, może złapiemy moment, żeby na drugą stronę tego mrowiska przeskoczyć!

— Wał jak na procesji, wio Lala!

Nagle z chodnika doskoczył do sanek jakiś mężczyzna w meloniku i pochwycił woźnicę za rękaw.

— Nie pchajcie się tam, bo was zwał, a sanie odbiora, miałem

W klubie polskim zasiada do stołu wiele znakomitości z 1831 roku, znanych Ujejskiemu z wizerunków i biografii w dziele Straszewicza: generałowie, posłowie, pisarze. Wiedzieli, że jest twórcą „Chorału”. „Skargi Jeremiego” już się drukowały — przyjmują go więc wszyscy serdecznie. Zjawia się tam kiedyś również Chopin i wręcza mu swój bilet wizytowy z adresem, zapraszając do siebie. Tam objawia mu się pierwszy raz, jak meteor, błądy o wielkich czarnych oczach, Juliusz Słowacki, a on drży ze wzruszenia i nie śmie się do niego zbliżyć. Tam poznaje Bohdana Zaleskiego, Antoniego Góreckiego i wielu innych.

Tymczasem — jak opowiada — „nadeszła zima i zaśniewała nauką moją wulkaniczność”. Zaczął bywać w rozmaitych polskich domach, u przebywającej w Paryżu arystokratki, w kołach literackich i artystycznych. Na niektórych zebraniach robiono mu miłe owacje. Kiedy indziej wzruszyło serce jakieś uroczyste stworzenie lub ośniła czyjaś posagowa piękność, jak np. pp. Calergis, z którą tańczył na wieczorze u ks. Izzy Sanguszkowej.

P. Calergis musiała na nim wywrzeć większe wrażenie, skoro po latach o niej wspomina. Była to Rosjanka, z domu Kasselrode. Kiedy z Adamem Kochanowskim udał się do niej z prośbą o składkę dla najbardziej potrzebujących emigrantów, dała więcej niż ktokolwiek z Polaków (złożyła na ten cel 1000 fr.). Wyszła potem powtórnie za mąż za Muchanowa, w Warszawie, gdzie znana była ze swego uspołecznienia i uczuć polonofilskich. W jej pogrzebie wzięła udział cała Warszawa.

Nie unikał też „babilońskich nieszczęśliwych”, ale i „nie zaniedby-

wał ducha”. Odwiedzał Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Miał w tym czasie kontakty z Towiańskim. Ciągnął go do siebie towiańczyk. Był jednak zbyt niezależną indywidualnością, zbyt trzeźwym obserwatorem, by się dać łatwo wciągnąć.

Pośród towiańczyków Ujejski związał się najbliższą przyjaźnią z Henrykiem Szułskim, którego bardzo lubił Mickiewicz i którego później zabrał ze sobą na Wschód. Był to miły człowiek, rodem z Lubelszczyzny, uważał się jednak za kozaka z Ukrainy. Z Turcji już nie powrócił, umarł w Trikalis. Ujejski długie lata utrzymywał korespondencję ze Szułskim, który mu przysłał odciepy po śmierci pukiel włosów Mickiewicza ze Stambułu.

II

Już od roku 1846 pachniało wiosną w powietrzu — wielką — burzliwą jakby miała zmienić stary porządek świata, przywrócić zachwianą równowagę i wyzwolić człowieka. Nowe idee przebiegały torowały sobie drogę, przenikały w umysły, wstąpiły w krew. Nowe hasła były na ustach tysięcy.

Dzisiaj — z oddali wieku, staramy się patrzeć obiektywnie. Przeglądamy się spokojnym okiem badacza, analizujemy przyczyny, szukamy podobieństw. Wyliczamy wpływy filozofów, żądających równouprawnienia i wolności dla wszystkich ludzi.

Ale wówczas nikt się pewnie nad tym nie zastanawiał. Nieledwie każdy dzień dosypywał prochu do ognia. Pękaly uświęcone zwyczajem, narzucone przemocą wieczy, drżały deski marionetkowych tronów, trzęśli się w swoich fotelach opasli mocarstwa pieniądza. „Mruczał lud — było to mrużenie nadchodzącej burzy”.

Już w grudniu 1847 na wykładach Micheleta student odczytuje i przedrzeźnia mowę tronową Ludwika-Filipa na otwarciu Izby Prawodawczej. Łagodne a potężne słowa wyprawiane na konferencjach w Notre-Dame przez słynnego kaszodzieję Lacordaire'a już nie uspokajają umysłów. Wśród studentów wrą narady młodych demokratów.

„Lew w Quartier Latin budził się — pisze Ujejski w swoich wspomnieniach. — Elektryczność była w powietrzu. Przejmowała mnie we wszystkich żyłach moich. Ogniem żyłem”.

I przyszedł luty 1848 roku. Oto urywek notatki:

„Takiej drugiej rewolucji już nie będzie. Mało gwałtu, mało krwi. Żadnego uderzenia armaty, kolby liniowego wojska podnoszone do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadł w śmiechu, entuzjazm wnieborosły, biały pożar w duszach, nie ten czerwony na dachach — tak od była się rewolucja lutowa.”

Byłem w niej czynny. Byłem na placu Zgody, kiedy dwieście tysięcy ludzi manifestowało. Byłem w następnym dniu, we środę, o paręset kroków od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia do idącego ludu, a on ponosił trupy na plac Bastylli i ogłosił walkę. A we czwartek, wyszedłszy z domu, siedłem po ulicach ogolonych z bruku, bo stawiano barykady. Przy jednej, na zapytanie kto jestem — chciało mnie ogłosić dowódcą, dlatego żem powiedział: „Polonais”.

Z bratem moim Francuzem i studentem spotkałem się szczęśliwie

po drodze. Pérut niósł karabin. Podaliśmy się w dwóch na drugą stronę Sekwany. Widziałem fale zapalające całą ulicę, kiedy od Bastylli szedł lud przez ulicę St. Honoré, gdzieś tam zbrojny oderwanymi żelaznymi sztachetami — straszny jak huragan.

Na placu Palais Royal znalazłem się z moim towarzyszem, zbrojnym karabinem Plac zapalony tłumem. Przed nami kasarnia, gdzie zamknęli się municypaliści. Każda ich kula trafiła. Podłożono słomę pod kasarnie. Wydmiono lisów. Lwy to były. Wybrani żołnierze z wojen algierskich. Otworzyli bramę i wyszli z bagnietami naprzód. Jeden z nich znalazł się przy mnie i przy moim Pérut. Uderzył w pierś bagnietą jednego z bluzistów. Powalił go.

— To mój brat! — krzyknął inny w bluzie — i zabił go uderzeniem swego bagnietu. Tamten padł i dyssał. Czako usunęło mu się z czoła. Padł tak, że mnie potrącił, aż upadłem na kolano. Zerwałem mu z czapki blaszanego koguta i trójkolorową kokardę i schowałem do kieszeni na pamiątkę tej chwili. Byłem jakiś zimny, przytomny w głowie, chociaż cały drżałem wojenną gorączką.

Mówię do Pérut:

— Idźmy teraz do Tuilerii!

Przedarliśmy się przez tłumy. Stańmy na ulicy Rivoli, przy jednej bramie ogrodowej najbliższej zamku. Brama o żelaznych sztachetach zamknięta. Po paru chwilach widzimy, że środkiem ogrodu sunie garstka.

— C'est le roi!

— C'est la reine!

— C'est la duchesse d'Orléans avec son petit, qui s'en vont! — krzyczano koło mnie.

Po chwili cały oddział wojska, piechota z kolbami do góry i armaty gromadzone na placu Karuzelskim dla obrony zamku przedelflowali ogrodem przed nami.

— Le château est vide! — krzyknęto.

I barkami wyważyliśmy bramę. I do zamku!

Weszliśmy we stu, a może we dwustu. Przed nami uciekali w twarde liberyni studzy królowskiej, rzucając za siebie pasowe fraki. Szliśmy przez puste salony. Widziałem w jednym z nich zastawione na stole niedokończony śniadanie i cygaro jeszcze dymiące. W sali tronowej widziałem na estradzie ogolonej z dywanu, na deskach napis nakreślony kredą: Vive la Pologne! Kto to napisał? Tron stał przewrócony, z purpurowego aksamitu po części obdarty. Podszedłem i urwałem kawał aksamitu i wsunąłem go do kieszeni. Łakomy byłem na pamiątki.

A tu po jakichś dziesięciu minutach wali na pokoje tysiączna masa ludu. Ledwie przepchałem się z powrotem.

Błądząc dostałem się na galerię obrazów Luwru. Już stali przy trzawach na straży bluziści z karabinami i każdego wchodzącego z cygarem w rękę przestrzegali, że dym szkodzi obrazom.

Co za lud!

Na tym urywa się notatka pamiętnika.

Gdy przyszła wiosna i coraz bardziej alarmujące wieści nadchodziły z kraju, Kornel Ujejski, na Dreźnie i Pragę, spieszył z powrotem do Polski, uważając, że tam jest jego miejsce.

Helena Devechy

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 16)

— Pewnie. Od pół godziny się kręci. Na krok od wozu nie odstępowала, zmarła na kosę, aż mi się jej żal zrobiło i posłałem ją do stróża, niech się zagrzeje.

Lucja miała nadzieję, że ja Marynia posłucha i jednak zostanie w mieście. Z rana jeszcze chciała ją zabrać, ale gdy w południe zaczęło mówić już zupełnie jawnie o przerwaniu frontu na Wiśle, zdecydowała, że małą zostawi. Matce musi wystarczyć kilka złotych słów, które obiecała przekazać i sweter właśnie ukończony przez dziewczynkę. Marynia zostawała pod dobrą opieką, w warsztacie RGO wyrażano się o niej z uznaniem, kierowniczka lubiła ją bardzo. Ponieważ ofensywa rosyjska postępowała gwałtownie, bezpieczniej było by dziecka nie brać ze sobą po nocy.

— Janie — szepnęła — może odjedziemy cicho? Jak nas nie zobaczą, pojedzie sobie do krenychy, po co ja mamy wlec ze sobą?

— Racja, ale ona czujna jak myszka. O, widzi ją pani, już postyszała.

Brzęknęły drzwi, błysnęło światło z mieszkania.

— Jak to dobrze, że pani przyszła — zawołała dziewczynka — nareszcie pojedziemy!

— Wolałabym Maryniu, żebyś została. Z tego, co ludzie mówią, widać, że się Rosjanie rozpędzili, możemy po drodze trafić na jakieś patroli. mogą strzelać... Będzie z tobą tylko kłopot. Myślę, że to rozumiesz, jesteście dziecko, duża i mądra, więc bardzo cię proszę idź z nami do domu.

— A rano pani sama mnie namawiała! Mamusia będzie bardzo

zmarzona, na pewno mnie wygłada...

— Zostaw to mnie, już ja cię wytłumaczę!

— Ona nie da sobie wytłumaczyć, ja mamusię znam lepiej! Będzie na pewno szalała, pani nawet nie wie, jak od śmierci tatusia drży o nas... Wolę jej posłuchać, pojadę z panią, pojedę!

— Maryniu, nie upieraj się, powiedziam raz — zostajesz!

— Proszę pani w taki czas lepiej się nie rozdzielać, mamusia chce nas mieć przy sobie! Pani też się do dzieci spieszy, choć to nie są pani własne... Też się pani niepokoi, a cóż dopiero mamusia? Z Irką są tylko kłopoty, a ja się naprawdę przydam, pani też pomożę... Ja bardzo lubię dzieci, przecież pani sama widziała!

Jan stał nieporuszony, z jedną nogą na płozie sanek, czerwony żar z fajki oświecał mu nieogoloną brodę, siwiejącą szczec.

— Na cóż Jan jeszcze czeka? — zachnęła się Lucja — Tracimy tylko czas!

— Niech pani posłucha — powiedział powoli i podniósł rękę do góry, pokazał ponad dachy zaśniewione, zlewające się w niebem.

Nasłuchiwały. Poprzez głośniejsze mrużenie motorów, szum pochodu, usłyszały głuche detonacje.

— Armaty?

— Ano, musieli podciągnąć pod miasto, znaczy się u nas w dolinie już są!

— Jedźmy Janie!

— Niech pani siada!

Z trudem wcisnęły się między pakunki, skulone naciągnęły ciężką derkę. Jan podszedł do dyszla odepchnął końskie pyski i zabrał koszyk; zapiął wędzidła, cmok-



nosa na ulicę, póki się wszystko nie uspokoi!

Wbrew szorstkim słowom, objęła dziewczynkę i ucałowała serdecznie. Jan zlał z sanek, stał z czapką w ręce:

— Niech się pani na mnie nie gniewa.

— Wiem, wiem. Rozumiem was. Odjeżdżajcie! Będę spokojniejsza jak będę u siebie na Kanonii. Dobranoc Maryniu!

STANISŁAW KOLINEK

W obronie czci Wita Stwosza

Cześć i dobre imię człowieka jest jego dobrem największym, co dopiero — gdy idzie o człowieka tej miary i zasług co genialny nasz artysta — Wit Stwosz. Najstarsze dokumenty i zapiski powieją, jaka jest prawda historyczna — a rzeczą sumienia będzie nagrodzić potworną krzywdę, którą wyrządza się dotąd jeszcze wielkiemu Polakowi.

Wit Stwosz był z pochodzenia Niemcem — i rzekomo „nie udało się dotąd udowodnić, iż był Polakiem „z Krakowa rodem” — jak się to twierdzi w broszurze dla młodzieży polskiej z 1933 r.

Wit Stwosz był i czuł się zawsze Polakiem; w Krakowie i w Norymberdze. Wykazuje to szczegółowo w osobnej, obszernej, przygotowanej do druku pracy. Tu pokrótce tylko nadmienię, że najstarszy historyk norymberski — Jan Neudorfer, przyjaciel osobisty Wita Stwosza i nauczyciel jego synów — w dziele swym w r. 1546: „Wiadomości o norymberskich artystach” — pisząc o Wicie Stwoszu podaje nam wstępnie krótki życiorys mistrza; stwierdza, przy tej sposobności, że Wit Stwosz jest „z Krakowa rodem”. Na tej podstawie przez trzy i pół wieku Niemcy wiedzieli i uznawali, że Wit Stwosz był Polakiem z Krakowa, tym bardziej — iż w Norymberdze „polskich obyczajów się trzymał i polski ubiór nosił”. Neudorfer zaś, to świadek klasyczny, który dane co do pochodzenia i narodowości Wita Stwosza miał od niego samego.

Manuskrypt Jana Neudorfera w całości ogłosił dopiero niemiecki historyk sztuki dr Fryderyk Campe w r. 1828 w Norymberdze.

Są jednak i inne dokumenty stwierdzające polskie pochodzenie Wita Stwosza.

Wspomnę o jednym tylko, chyba zupełnie wystarczającym.

Dnia 2 marca 1499 r. — kupił Wit Stwosz od rady miejskiej w Norymberdze, po wypędzeniu Żydów przez cesarza Maksymiliana I — dom starego Majera Johela, przy ulicy Zydwoskiej — za 800 florenów. W archiwum miejskim w Norymberdze przechowywano kopię wspomnianego kontraktu kupna.

Otóż tak w kopii kontraktu, w księdze miejskiej (co podaje Bertold Daun) — jak i w samym kontrakcie kupna te same realności, podpisane własnoręcznie przez Wita Stwosza, oznaczony był nabywca jako „Wit Stwosz, snycerz, rzeźbiarz i malarz z Krakowa rodem”.

Oryginalny kontrakt kupna, własnie dla tej przyczyny zakupił od potomków spadkobierców Wita Stwosza — mianowicie od Katarzyny Schmidl za 50 florenów bar. Edward Rastawiecki, bawiąc w Norymberdze w r. 1857 i złożył go w archiwum Muzeum archeologicznego w Krakowie.

Nie jest też prawdą, jakoby Wit Stwosz podrobił w Norymberdze jakiś dokument.

Wit Stwosz przybył oto po raz trzeci do Norymbergi, w r. 1496 — po ukończeniu ołtarza Mariackiego i sarkofagu Kazimierza Jagiellończyka w Katedrze Wawelskiej (1492), by wykonać tam, wedle swojego zażyczenia, już przez tamtejszą radę miejską projektu, grobowiec nad trumną św. Sebaldy w kościele parafialnym pod wezwaniem tegoż świętego.

W tym czasie przywiózł ze sobą z Krakowa dość znaczną gotówkę,

nie mając zresztą zamiaru osiedlić się w Norymberdze na stałe; rodzinę swą pozostawił w Krakowie, gdzie syn jego Stanisław, również snycerz, miał prowadzić nadal pracownię ojca.

Za pośrednictwem Niemca krakowskiego, rajcy miejskiego, Jana Bonera, zapoznał się w Norymberdze z bratem jego Jakubem, szefem poważnej firmy handlowej, bankierem i nader wpływowym rajcą miejskim. Mając zaufanie do poważnej firmy Bonera, Wit Stwosz zaraz po przyjeździe do Norymbergi umieścił w jego banku część swojej gotówki w sumie 1000 florenów, uzyskując na to formalne pokwitowanie z podpisem i pieczęcią firmową J. Bonera. Po trzech latach Boner niespodziewanie wypowiedział depozyt pieniędzy Witowi Stwoszowi, proponując mu złożenie całej gotówki z odsetkami w łącznej sumie 1265 florenów w innym tamtejszym banku, mianowicie — Hansa Starzedela i Spółki. Sprawę podjął się załatwić sam i natychmiast tj. dnia 25 maja 1500 r. przez sługę swego („durch seinen Knecht”), odebrał od Stwosza swój kwit depozytowy, w którego miejsce Stwosz otrzymał w tym samym dniu od Starzedela nowy kwit depozytowy z jego podpisem.

Starzedel zeznał nadto swój dług zwyczajem norymberskim do księgi miejskiej. Okazało się wnet, że W. Stwosz padł ofiarą dobrze obmyślanego oszustwa obu bankierów. Starzedel bowiem był już wówczas bliski bankructwa, o czym dobrze wiedział Boner, któremu Starzedel dłużny był 600 florenów.

Pieniężni Wita Stwosza podzieliłi się zatem obydwaj bez jego wiedzy, czyli jak się wyrażają niektórzy niemieccy pisarze, „pożyłki sobie gotówkę W. Stwosza”. Starzedel ogłosiwszy po tym wypadku swą niewypłacalność, zbiegł natychmiast w niewiadomym kierunku. Wit Stwosz zaś ohydnie oszukany utracił ciężko zapracowaną gotówkę, gdyż kwit Starzedela nie przedstawiał żadnej wartości. Żyjąc w przyjaźni z tamtejszym obywatelem Krzysztofem Scheurlem, uzyskał od niego za pośrednictwem przekupnika przez tegoż kantorzysty Bonera, wyjęty z kartoteki bankowej pierwotny kwit depozytowy z podpisem i pieczęcią Bonera, co umożliwiło Stwoszowi dochodzenie swojej pretensji na drodze sądowej. Sprawę rozstrzygał sąd miejski, zależny od rady miejskiej i przez nią mianowany, gdyż sędziów ustanawiała w każdym wypadku rada miejska, wyznaczając ławników z grona rajców miejskich i dając im wskazówki, a nawet określając z góry wyrok.

Gdy na rozprawie Wit Stwosz okazał niespodziewanie oryginalny kwit depozytowy z podpisem i pieczęcią Bonera, zaskoczony Boner — oświadczył, że kwit jest sfałszowany, co dla owego sądu było wystarczające, jakkolwiek Boner oryginalnego kwitu swego w ciągu całego, dość długiego sporu nie przedstawił.

Wita Stwosza postawiono teraz przed sąd pod zarzutem sfałszowania kwitu; za fałszerstwo zaś dokumentu była wedle ówczesnego tamtejszego prawa przewidziana kara śmierci. W Norymberdze praktykowano wówczas tortury, wykonywane przez kate miejskiego i jego po-

moćników, posługujących się rozmaitymi narzędziami stosownie do uchwały rady miejskiej lub lekarza miejskiego. Celem wydobycia potrzebnych zeznań, poddano Wita Stwosza i Scheurla szczególnie nie-ludzkim torturom.

W księgach rady miejskiej w Norymberdze z tego czasu znajdujemy uchwałę tejże rady z dnia 18 listopada 1503 r.: „Wita Stwosza związać i postawić na kamieniu” („uff den stain steen”) — to jest bosymi stopami postawić na rozpalonym kamieniu i „wyptać o wszystkie szczegóły”. Jak świadczy raport straży więziennej z tego czasu, tortury te stosowano przez 19 dni.

W dniu zaś 23 listopada 1503 r. zapisano uchwałę: Wita Stwosza pojąć i torturować za pomocą koła. Wit Stwosz zniósł wszystkie tortury i do fałszerstwa się nie przyznał, twierdząc, że dostarczony mu „kwit uważał za oryginalny, pochodzący z kancelarii Bonera” — nie podał zaś, kto mu kwitu tego dostarczył. Uznano to za przyznanie się do fałszerstwa, jakkolwiek podejrzanym o współudział i także torturowany nieludsko Scheurl — do sfałszowania ani do dostarczenia kwitu oryginalnego Stwoszowi również się nie przyznał.

W toku dechodzeń sądowych przyszło do pisemnej ugody między Bonerem a Witem Stwoszem, który sądził, że ugoda ta spowoduje, iż sąd zaniecha dalszych dochodzeń. Do ugody parł zwłaszcza Boner — skompromitowany tą sprawą w opinii mieszczan norymberskich, sympatyzujących w duchu z oszukanym i skrzywdzonym przez „chytrego” Bonera — Stwoszem.

Ugodę spisano dnia 29 października 1503 r. — a więc na długo przed wyrokiem — sąd jednakże nie wziął jej zupełnie pod uwagę, ani nie zajął się z jej treścią.

Według tej ugody — Wit Stwosz oświadczył, że na poparcie swojej skargi złożył przed sądem list dłużny, który ma od Bonera, („den ich von ihm hab”) — jako Jakuba Bonera pismo własnoręczne i że pismo to uważał za jego pismo ręczne. Gdy jednak Boner zapewnia, że kwit tego nie pisał, ani nie zaopatrywał swoją pieczęcią — Wit Stwosz nie chce go nadal obwiniać, że on zaprzecza swojego ręcznego pisma i żadnej pretensji do niego ani jego spadkobierców podnosić nie chce i nie będzie, zastrzegając sobie prawo dochodzenia pretensji przeciw Starzedelowi.

Stwosz zatem w ugodzie tej do żadnego fałszerstwa się nie przyznał. Wiedział bowiem dobrze, że dostarczony mu przez Scheurla kwit depozytowy jest oryginalnym kwitem Bonera. Jakkolwiek w umowie jest wzmianka o wzajemnym pojednaniu. Boner nie zastosował się do niej i nadal ścigał Stwosza procesami, wnosząc skargę o zwrot kosztów sądowych, które doszły do 4000 florenów.

2 grudnia 1503 r. tj. w sobotę [Sabate post Andrej], zapisano w księdze miejskiej nową czynniczną uchwałę rady: oto postanowiono „okazać łaskę i litość” Witowi Stwoszowi, tj. nie skazać go na śmierć za fałszerstwo.

W dniu 4 grudnia 1503 r. (w poniedziałek) — zapadł zatem zgodny z życzeniem mściwego J. Bonera i w myśl owej uchwały rady

miejskiej — świadomie niesprawiedliwy wyrok — skazujący Wita Stwosza za rzekome sfałszowanie kwitu depozytowego Bonera na internowanie w mieście Norymberdze do końca życia i napiętnowanie na ciele jako fałszera. Po ogłoszeniu wyroku wyprowadzono Wita Stwosza dnia 4 grudnia 1503 r. z więzienia na plac publiczny, gdzie kat miejski rozpalonym żelazem w obecności tłumów wycisnął mu piętna na obu policzkach, rozraniwszy je tak dotkliwie, że musiał poddać się długiemu leczeniu.

W tym samym czasie, gdy Wita Stwosza obwiniano o fałszerstwo kwitu, zastanawiano się w radzie miejskiej, jak się pozbyć niewygodnego świadka, Krzysztofa Scheurla, znającego całą prawdę, że kwit nie był sfałszowany. A więc, jakkolwiek dnia 4 grudnia 1503 r. zapadł wyrok sądowy przeciw Stwoszowi, skazujący go za rzekome fałszerstwo, w dniu 18 grudnia 1503 r. zapadła za-notowana w księdze miejskiej uchwała rady: „10b secunda post Lucie: Krzysztofa Scheurla pociągnąć do wypowiedzenia się „o krzywą rękę” tj. o przekupstwo („umb die krummen hant”), „i tak go przesłuchać, iżby się przyznał”.

Zarzucono mu mianowicie przekupienie kantorzysty Bonera w tym celu, aby wydobyl z banku Bonera kwit depozytowy oryginalny, odebrany poprzednio — tj. 25 maja 1500 r. od Stwosza. Ta uchwała rady miejskiej jest wymownym dowodem, że Wit Stwosz kwitu depozytowego nie sfałszował i sfałszować nie potrzebował, mając w ręku kwit oryginalny, który zniknął z kancelarii Bonera.

Jak uzasadniono zarzut sfałszowania kwitu depozytowego przez Wita Stwosza?

Mówi o tym księga uchwał rady miejskiej w Norymberdze z r. 1503. Nie dowiedzieli się jednak o tym Wit Stwosz do końca życia — gdyż nie miał dostępu do tych ksiąg.

Oto syn Krzysztofa Scheurla, przyjaciel Wita Stwosza — dr Krzysztof Scheurl, widząc jak okrutnie ojciec jego jest przez radę miejską gnębiony, w obawie o jego życie zmobilizował wprost opowieść, którą zapisał w prowadzonym przez siebie pamiętniku archiwum domowego rodu Scheurlów.

Dnia 16 listopada 1503 r. — (a więc w czasie, gdy Wit Stwosz znajduje się w więzieniu) — Krzysztof Scheurl zapisuje, że Boner będąc winien Stwoszowi 1121 florenów, odesłał go z pretensjami do Starzedela, oszukawczy go złośliwie („bösllich”), gdyż Starzedel zbankrutował wówczas, o czym Boner dobrze wiedział.

Dr Krzysztof Scheurl potknął się przy tym fatalnie, gdyż pretensję Stwosza określił mylnie na 1121 florenów — zamiast 1265 fl. Opowiada, że W. Stwosz przejął się tym oszustwem Bonera, i nie mogąc przeboleć straty tak wielkiej sumy pieniędzy, zwrócił się z tego także przed swym spowiednikiem u Karmelitów Bosych, który doradził mu rzekome podrobienie kwitu Bonera i zaopatrycie go podpisem Bonera i jego pieczęcią firmową tak, ażeby pismo było zupełnie podobne do pisma ręcznego Bonera, a ów mnił przebacza mu z góry przed Bogiem i nie będzie mu to grzechem! Pouczył go także, jak ma podrobić pieczęć Bonera.

Krzysztof Scheurl zapisał też rozmyślnie: „W tym mu (tj. W. Stwo-

szowi) nikt nie pomagał (tzn.: ojciec Scheurla), a spowiednik, tj. ów mnich umarł”.

Nie tylko zatem nie podał imienia owego spowiednika, ale dla ostrożności go uśmiercił.

Nazajutrz, tj. dnia 17 listopada 1503 r. Scheurl z pamiętnikiem swym zgłosił się w zarządzie miasta, gdzie ową fantastyczną opowieść wypisano do księgi miejskiej, jako rzekome zeznanie ustne Wita Stwosza, złożone przed sądem.

Intryga to zbyt przejrzysta, zbyt naiwna, ale jakże nikczemna i kompromitująca przewrotną i zawziętą radę miejską.

Wit Stwosz fałszerstwa nie popełnił i do żadnego podrobienia kwitu się nie przyznał, przeciwnie — jak długo żył — utrzymywał w Norymberdze i poza Norymbergą, że jest zupełnie niewinny — jakkolwiek każdą taką wypowiedź przypłacał więzieniem i torturami. Świadczy o tym np. następujący wpis z dnia 1506 r. w księdze rady: G str. 222 b — 223a:

„Rada słusznie jest niezadowolona z mów, które prowadzi, i z tego, co w suplicie swej twierdzi, jakoby nie nie wykroczył, lecz, że postępek jego był sprawiedliwy — przeto rada wydaje nakaz, aby już nadal mów podobnych zaniechał, bo w przeciwnym razie, spowoduje radę do zastosowania innych środków przeciw niemu”.

Z początkiem września 1506 r. uzyskał Wit Stwosz od cesarza Maksymiliana I — dekret rehabilitacyjny w formie otwartego edyktu, uniemożliwiającego w całości wyrok sądu miejskiego w Norymberdze z dnia 4 grudnia 1503 r. — jako nieuzasadniony i niesprawiedliwy. Uchylone zostało również internowanie dożywotnie w mieście Norymberdze, gdyż cesarz przywrócił mu w całości, „wszelkie prawa obywatelskie i cześć”, a więc zupełną swobodę ruchów.

Nie zastosowała się jednak do tego norymberska rada miejska i wymagała nadal od Wita Stwosza, by murów miasta nigdy nie opuszczał ani na chwilę bez specjalnego jej zezwolenia. Stwoszowi odmówiono nie tylko ogłoszenia w mieście edyktu cesarskiego (Hampe poz. 744), ale zakazano mu czynić z niego użytek, a uzyskanie edyktu poczytano mu za wrogię działanie przeciw Norymberdze. Rada miejska kazała go natychmiast uwięzić, a następnie wedle zapisu w księdze miejskiej dnia 15 września 1506 r. powzięła uchwałę „Wita Stwosza zmusić do zeznania, z jakich powodów i przy czyjej pomocy osiągnął królewski mandat — to jest absolucję nałożoną na niego kary”.

Cesarz Maksymilian I przekonany o niewinności Wita Stwosza po zbadań całej sprawy, odnosił się do niego przychylnie, przyjaźniejszy go osobiście w r. 1507 w Ulm — a w 1512 w Norymberdze. Cesarz bowiem powierzył W. Stwoszowi zaprojektowanie i wykonanie posągów do mauzoleum Habsburgów — w kościele dworskim w Innsbrucku. Aby wykonać te prace, W. Stwosz zmuszony był często opuszczać Norymbergę i często wnosić prośby o zezwolenie na wyjazd — a wyjeżdżając opowiadał o swej niewinności i niesprawiedliwym wyroku. Rada chcąc położyć kres kompromitowa-

niu jej poza Norymbergą, postanowiła zastosować owe zapowiedziane Stwoszowi „inne środki przeciw niemu”.

Takim środkiem stało się w r. 1530 — barbarzyńskie wyklucenie oczu 92-letniemu starcowi

Są również dokumentarne dowody i tej zbrodni.

Mówią o niej najdawniejsi kronikarze norymberscy: Heinz Deichler i M. Müller. Oto ich słowa według G. W. K. Lechnera: „Des Johannis Neudörfers Nachrichten” [str. 87]: „I oni (tj. W. Stwosz i Boner) pracowali się wzajemnie dobre dwa lata, zanim on (tj. W. Stwosz) swoją awanturę o to zakończył, tj. zanim mu wypalono oczy i musiał przysiąc, że jak długo żyć będzie nie wyjdzie z tego miasta; gdy bardzo natarczywie i wiele razy prosił, wtedy zgodzono się, iż mu wykluto oczy”.

Podając to, stwierdza Lechner w pracy swej: „Des Johannis Neudörfers Nachrichten von Künstlern und Werklütten” [str. 87], że przez długi czas przyjmowano to z zastrzeżeniem, jako pogłoskę („als eine Sage”) dopóki właśnie z kroniki Deichlera — ogłoszonej późno po jego śmierci — nie dowiedziano się całej prawdy.

To samo stwierdza też historyk niemiecki Max Lessnitzer w wyżej wymienionym swoim dziele na str. 168, pisząc o ostatnich latach ciężkiego życia Wita Stwosza: „Znużony i rozgoryczony, obrabowany ze wzroku [„des Augentlichtes beraubt”] umarł stary mistrz w sędziwym wieku w czasie, który mu się przeciwstawił jako obcy i wrogi”.

Wreszcie zapisuje to w oględniejszej jednak nieco formie — zlejący bezbrzeżną nienawiścią ku Polsce i Polakom Eberhard Lutze w pracy swej: „Velt Stoss. Deutscher Kunstverlag”, Berlin 1938 r.: „ale on (tj. Wit Stwosz) wypuszczając dłoń, mógł snycerski i pedzel jako zgrybiały starzec z ręki, gdy mu znużono oczy ślepotą i mrokiem nocnym zaciemniono”.

Wit Stwosz ociemniały, przez wnućkę Urszulkę prowadzony — i złamany tym nieszczęściem, żył jeszcze 3 lata. Zakończył swój prawdziwie meczekski żywot w r. 1533, w szpitalu w Schwabach pod Norymbergą.

Oto, smutna historyczna prawda i nad wyraz smutne koleje życia genialnego naszego rodaka. Z jakiego wielkim wzruszeniem śledzi losy tego człowieka. Trzydzieści kilka lat spędzonych w Norymberdze z dala od utęsknionej ojczyzny, której plastyką mapę dla podniesienia ducha, tak skrupulatnie w obcym, wrogim mu mieście — sporządził sobie sam — jak wspomina Neudorfer — tam na obczyźnie, to karta nadzwyczaj bolesna. To walka ze złymi ludźmi i z okrutnym, niezasłużonym losem.

Zbliża się chwila, kiedy genialne arcydzieło tego mistrza — słynny ołtarz Mariacki, znajdzie się z powrotem w kościele N. Panny Marii. Na tym miejscu, gdzie je przed 454 laty ustawił sam twórca.

Zapomniany i źle oceniony, niesłusznie nawet przez własnych rodaków osądzony, niech po wiekach wraca do nas — już inny — sercem naszym bliższy — do czci należnej przywrócony.

Stanisław Kolinek

— A kiedy?
— O czasie!

— Jak jest autobus to ja z panią pojadę — zawołała Marynia. — Przecież będzie lepiej, jak zostaną pod pani opieką!

— No, dobrze jedź! — zgodziła się łatwo.

Gdy ruszyli mała złożyła ręce i ze skupieniem na twarzy wyszeptwała krótką modlitwę. Lucja odychała z ulgą. Przez szyby zamalowane na niebiesko widziała niewiele, zgadywała jednak, że krąży ciągle ulicami miasta, by wy dostać się ze zlewiska taborów. Jaśniejszymi plamami przesuwali się światła mijanych kolumn samochodowych. Słyszała jak dwaj mężczyźni rozmawiali niespokojnie, dzieliłi się wiadomościami o zmianach frontu. Okazało się, że poranny autobus nie wyjechał z Doboszwowa, a ten którym właśnie jadą, może w najlepszym razie dobrać do wsi Magnuszowice, jednak w dolinę już nie zjedzie.

— Nie kazano nam zejść z linii, to pełnimy służbę — powiedział konduktor, wydając jej bilety. — Ale chyba to ostatni kurs.

— Boże, jak to dobrze, że jeszcze posuwamy się naprzód. Jak się wyrwimy poza przedmieścia spadnie mi kamień z serca — myślała Lucja. — Zdobyłam pieniądze, wiozę pieniądze. Wierzę, że wszystko zakończy się pomyślnie. — Przypomniała sobie nieczytelne pytania urzędników, oczekiwanie na podpisy i wyjście do okienka. Biegła od banku do banku, wypłacano tylko po pięć tysięcy, by utrudnić wycofywanie wkładów.

Jechali może kwadrans, naraz kierowca gwałtownie zahamował. Światło zgasto. Konduktor krzychał coś po niemiecku. Za oknem przesuwali się parami światła. W ich blasku zobaczyła Niemców ze srebrnymi półkieszycami na pierśsiach i granatami za pasem.

— Wszyscy wysiadać — powiedział krótko — rekwirowujemy autobus dla rannych.

Lucja wyskoczyła w głęboki śnieg. Autobus stanął przechylny tuż nad rowem. Warczały przejeżdżające auta, spod plandek wyglądały głowy w hełmach. Bielaty twarze w świetle krótkich błysków reflektora. Noc była jakby jeszcze ciemniejsza.

— Co ja mam teraz robić — płakała kobieta z dzieckiem na ręku — gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie pójść?

— gdzie

SZUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Rozważania o baśni ludowej

Wertując zapiski O. Kolberga oraz innych zasłużonych zbieraczy folkloru, mimo woli jest się pod urokiem ludowej baśni, jej zmiennych obrazów, nastrojów, na przemian subtelnych i rubasznych.

Baśń ludowa dotrwała do naszych czasów w formie surowej, przekazana słowem chłopskiej opowieści. Forma ta jest często dla przeciętnego odbiorcy nieczytelna.

Przecież tak, jak się przedstawia w notatkach, przypomina białym wspaniałej starej tkaniny, na której złote rysy, kolorowe ptaki, ludzie i drzydy na tle zieleni drzew tworzą piękny, choć nie zawsze zrozumiały wzór.

Nęci opracowanie tych baśniowych wątków. Wydaje się, że coś ważkiego nie zostanie dokonane, jeśli one nie trafią w formie książkowej do czytelnika.

Czytelnikiem baśni jest i będzie przede wszystkim — dziecko. Pisarstwo dla dziecka, to już pewna stylizacja, tym trudniejsza, że tematem tej stylizacji jest baśń ludowa.

Naukowo pisarza dla dzieci zastanawiać się nad tym, czy jego praca będzie pozytywna wychowawczo, dydaktycznie. Zagadnienie to staje się bardzo skomplikowane, gdy mowa o baśni ludowej.

Feeria baśni ludowej jest sprzężona z konkretem i jest tak blisko realnego życia, że starczy gestu czy formułki słownej, aby z planu rzeczywistego przenieść się w plan baśni. Lektura tego rodzaju baśni oddziaływała bardzo silnie na wyobraźnię dziecka, pobudza ją i zastrza.

Dziecku potrzebne jest niechybnie poruszenie jego wyobraźni. Lecz baśń ludowa oddziaływała na nią, nie liczy się z tym w jakim kierunku to czyni.

Fabula jej, bystra i wartka, przetrząca akcję z miejsca na miejsce, z sytuacji do sytuacji z chyłnością Siwka-Złotogryzka. Akcja ta — prawdziwie rękodzielną — spływa krwią. Bohaterowi przysnąć trzeba to jedno: że jest altruista. Ale na tym i koniec. Dążąc do szlachetnego celu (po cudownym leku dla chorej matki, czy na ratunek uwiecznionej piękności) tnie mieczem wrogów na lewo i prawo,

Hanna Januszewska



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

BAWIŁY SIĘ LIŚCIE

Baw'y się liście w „kosi, kosi łapci”:
— Pojedziem daleko, do Liścianej Babc!

Do Liścianej Babc, Liścianego Dziadka,
Nie będziem tu siedzieć, jak chce pani Matka! —

No i poleciały, lecz tyle wiem o tym,
Że nie mogły n'gdy przylecieć z powrotem.

IDZIE NIEBO.

Idzie niebo ciemną nocą,
Ma w fartusku pełno gwiazd.
Gwiazdy błyszczą i migocą,
Aż wyrzwały ptaszki z gniazd.
Jak wyrzwały — zobaczyły
I nie chciały dalek spać,
Kaprys'y, grymasiły,
Żeby im po jednej dać!
— Gwiazdki nie są do zabawy,
Toż by noka była złą!
Ej! usłyszysz kot kulawy!
Cicho bądźcie!... a a a...



Charakterystyka twórczości dla dzieci Ewy Szelburg-Zarembiny nie jest łatwa. Około pięćdziesięciu tytułów, wielka rozpiętość tematyki i bogactwo formy, wiele lat pracy, linia rozwoju i osiągnięcia pełnego wyrazu poetyckiego — oto elementy, które należy uwzględnić, jeśli charakterystyka tej twórczości ma być prawdziwa i wierna. Nie od razu też można się o to pokusić.

Jest jednak dziedzina pisarstwa Ewy Zarembiny szczególnie domagająca się analizy. Dziedzina stosunkowo niewielka, tym niemniej jednak bardzo ważna — **poezja dla najmłodszych**. Jest to rodzaj, odrębny i specyficzny, reprezentujący najczęściej czysty typ literatury rozrywkowej. W tym wypadku cecha ta jest cechą dodatnią, gdyż wynika z podstawowych założeń tego rodzaju literatury i jest jej punktem wyjścia. Istnieje bowiem pewna ilość utworów — nie tylko o charakterze rozrywkowym, ale i rozwijającym umysłowo, a więc z ładunkiem wiadomości czy zagadnień.

Ewa Zarembina ma wyjątkowo dar trafnego rozwiązywania trudnego zagadnienia, jakim jest wartościowa literatura rozrywkowa dla najmłodszych. I to właśnie jest jednym z powodów wyodrębnienia tej gałęzi jej twórczości, jako pierwszego tematu do charakterystyki jej pracy pisarskiej dla dzieci. Drugi powód — to szczególne zachwycenie tej dziedziny literatury, wskutek czego analiza wysokiej klasy pisarskiej w tym zakresie może być i praktycznie posunięciem korzystnym. Wreszcie trzeci powód — literatura dla najmłodszych powinna znaleźć wielkie za-

DLA NAJMŁODSZYCH

stosowanie dla dziecka na wsi, gdzie może pełnić swą funkcję czytelnika stosunkowo dłuższą i w szerszym zakresie niż u dzieci miasta, które szybko dojrzewają i ulegają jeszcze innym, dawniejszym, trwalszym wpływom kulturalnym. Małe dziecko na wsi nie ma właściwie jeszcze do dzisiaj książki dla siebie.

Dzięki czemu dobra poezja dla najmłodszych — spełnić może swą funkcję w bardzo szerokich kręgach dziecięcych? Specyficzny prymitywizm tego rodzaju wierszy, słuszny i kompozycyjnie zrozumiały, czyni je czytelnymi. Psychika małego dziecka jest mniej zróżnicowana w poszczególnych środowiskach niż u dziecka starszego, tyle tylko że małe dziecko jest małym umysłowo i psychicznie stosunkowo dłuższą na wsi niż w mieście, wrażliwość jego podatna jest bardzo silnie na muzyczną formę wiersza i na elementy uczuciowe. Małe dziecko jest jeszcze wrażliwe na poezję.

Wiersze czy proza poetycka dla najmłodszych percypowane są bardzo różnie i muszą być tematycznie i formalnie do tego przystosowane. Dzieci najczęściej tych wierszy — słuchają, uczą się ich na pamięć i recytują, czasem nawet śpiewają; bardzo rzadko czytają same. Muszą więc być one proste, raczej krótkie, bardzo rytmiczne, „muzyczne”, zbudowane z elementów najprymitywniejszych, których ułożenie i powiązanie z właściwą pointą, czyni z nich zamknięte i odrębne ca-

łości, łatwo zrozumiałe i wpadające w ucho. Nad tymi wierszami dziecko nie powinno myśleć, powinno je słyszeć, przeżyć uczuciowo, powoływać, uśmiechnąć się lub zadziwić, w żadnym jednak wypadku się nimi znużyć czy znudzić. Wiersze dla najmłodszych to bajdy, bajdurzenie w formie poetyckiej, gdzie treść jest nijaka, czasem nawet bezsensowna, zwykle bez większego znaczenia, za to słowo — musi być pełne poezji, wdzięku, precyzji i plastyczności. Wiersz taki musi swą funkcję kształcącą spełniać jedynie przez przyzwyczajanie do prawdziwej poezji i osłuchiwanie z nią, **zrozumienie** przyjdzie dopiero w latach dojrzalszych. Dlatego wiersz dla najmłodszych jest najtrudniejszy do napisania, dlatego dziedzina ta leży odległym. Mało jest dotychczas talentów tego typu, ale wiersze Ewy Zarembiny stanowią tutaj rzadki wyjątek, realizując w pełni przedstawione założenia. A realizują je zarówno w odniesieniu do wierszy dla najmłodszych, jako lektury czysto rozrywkowej, jak i w stosunku do ich odmiany „kształcącej” umysłowo.

Jak się to dzieje? Klasykiem przykładem tej realizacji jest tom „Aaa kotki dwa”¹⁾. Ewa Zarembina spożytkowuje tam motywy piosenek i bajek, bardzo chętnie używa formy kołysanki, która uspokaja

¹⁾ Ewa Szelburg-Zarembina. „Aaa kotki dwa”. Il. Z. Fiałkowska. Wyd. III. Gebethner i Wolff. Warszawa 1947.

słuchające dziecko i wprowadza je całe w rytm wiersza (kołysanie). Operuje czułością matki do małego odbiorcy i czułością dla życia i świata, przez co czyni dziecko podatnym na wzruszenia, które stanowią drogę wiersza ku dziecku. Liryzm tych wierszy, często smutna refleksyjność, nienadużywanie uśmiechu — czyni je prawdziwie ludzkimi i — przekonywającymi. W wierszach tych wyczuwa się szczególną „dwoistość”: uproszczoną „akcję” i liryzm wiersza obok „obecności” dziecka-odbiorcy, do którego poetka się zwraca, którego reakcje podaje i w treść wprowadza. Ażeby znaleźć upodobanie w tych wierszach — nie trzeba nic wiedzieć ani rozumieć, wystarczy być dzieckiem i słuchać.

Trudniejszym już nieco utworem są „Wesołe historie”, zbiór prozy poetyckiej o ogromnym wdzięku i lekkości w pomysłach i ich wykonaniu. Wymowny dla treści rytm, rytm wiążący poszczególne człony formalne prozy i jej treści, symetryczność konstrukcji, powtarzanie muzyczne wątków treściowych — obok humoru i napięcia dramatycznych dają pełną ruchliwość, bardzo dla dziecka powabną. Składa się ona z elementów niezmienne prostych i prymitywnych, z faktów „malutkiego” życia, które w transpozycji poetyckiej, a jednak czytelną — staje się nową, odmienną całością, pomyślaną w innym wymiarze.

Całkiem odrębne podejście realizuje książeczka „W miasteczku Zapakowie”²⁾. Jest to rzeczowe i proste zestawienie dwu elementów: wiersza i zabawki. Wiersz staje się tematem do urzeczywistnienia w postaci samodzielnie robionych przez dziecko zabawek — drobnych, najprostszych zdarzeń z życia, które czegoś uczą i o czymś mówią. Już w „Wesołych historiach” ten wątek uczenia „zazna” czyli się lekko, tu występuje wyraziście, aby w „Towarzyszkach”⁴⁾ wystąpić całkiem dobitnie. Ewa Zarembina zestawia w tym tomiku w „funkcyjne” pary — ludzi i zwierzęta, przeprowadzając paralele prac i czynności jednych i drugich. Idąc od rzeczy łatwych do trudnych, wskazuje proste związki i akcentuje to prostym i krótkim wierszem. Podkreśla walorem formalnym piękno i sens ludzkich i zwierzęcych prac i czynności i ich równorzędność. Jest to krok pierwszy ku wiedzy i obserwacji, ku głębszemu rozumieniu istoty niektórych zjawisk.

Dalszy krok po tej drodze to — „Po nocy do kłębka”⁵⁾, „Podróż po mieście”⁶⁾, „Mali Braciszki”⁷⁾. Ewa Zarembina ujmuje konstruktywnie pewne zdarzenia i zagadnienia, ujawniając sens, o który jej chodzi. Zjawiska tak niezłożone i bliskie dziecku, jak życie, praca robotnika, czynności matki, szkoła — tłumaczy logicznie „po nocy do kłębka”, jako zespół spraw, które składają się na pracę i wyjaśniają jej społeczny pożytek. „W podróży po mieście” autorka rozwija to zagadnienie jeszcze szerzej, podkreślając konieczność organizacji życia dla spełnienia obowiązku pracy — na konkretnych faktach, które wypełniają dzień w mieście i rozgrywiają się na tle jego piękna i szarości oraz ułatwień, dla niego charakterystycznych (tramwaj) — stąd podróz. Ten konkretyzujący abstrakcyjne zagadnienie chwyt kompozycyjny, czyni całość zrozumiałą, łatwą, ciekawą i prostą.

„Mali Braciszki” ilustrują sprawę życia społecznego, jako celu działania. Ewa Zarembina oddziałuje na typy dzieci z całego świata, podkreślając jednocześnie ich cechy specyficzne i braterskie powiązanie ich **społecznych losów**. W ten interesujący dla dziecka sposób odsłania przed nim sens ogromu światowej ludzkiej rodziny. Wprowadza ona postaci dzieci wszystkich środowisk, wskazując jako więź je łączącą — pracę i trud.

Ta krótka charakterystyka jednej z dziedzin twórczości Ewy Zarembiny — Zarembiny jasno wskazuje, że nawet w tak specjalnych utworach, jak wiersze dla najmłodszych, reprezentuje ona wielką rozpiętość zagadnień, postawę rzeczową i społeczną obok czys poetyckiej, bogactwo formy. Albowiem Ewa Zarembina oscyluje w nich pomiędzy różnorodnością środków wyrazu poetyckiego — a oszczędnym i powściągliwym ich upraszczaniem, między poetycką kompozycją — a konstruktywno — logicznym powiązaniem elementów całości. Raz wzrusza i zachwyca, i tam jest najbardziej sobą, kiedy indziej uczy, pokazuje, odsłania proste tajemnice — tym najmniejszym, którzy jeszcze nie mogą rozumieć, ale już mogą i chcą — widzieć. Wiersze Ewy Zarembiny dla najmłodszych stanowią jedną z najciekawszych dziedzin jej bogatej twórczości.

Aniela Mikucka

²⁾ Ewa Szelburg-Zarembina. Wesołe historie. Wyd. II. Księgarnia Naukowa. Toruń 1948.

³⁾ W miasteczku Zapakowie. Il. J. Bocianowski. M. Arct. Warszawa.

⁴⁾ Towarzysze. Il. J. Beldowska. Państw. Zakł. Wyd. Szkolne. Warszawa 1946.

⁵⁾ Po nocy do kłębka. Il. A. Biersacka. Łódzki Instytut Wydawniczy. Łódź 1947.

⁶⁾ Mali Braciszki. Il. M. Hiszpańska. Sp. Wyd. Wiedza, Warszawa 1947.

⁷⁾ Podróż po mieście. Il. W. Siemiatkowski. Nowa księgarnia. Warszawa 1948.

Swojskość i egzotyka

Swojskości jest całe morze, a egzotyki tylko jedna kropka. Oczywiście mowa tu o książkach dla dzieci młodszych, gdyż powieści egzotyczne dla młodzieży stanowią osobny rozdział.

Niewspółmierność ta ma swoje przyczyny. Autorzy zdają sobie sprawę, że elementy świata bezpośredniego otaczającego dziecko są wystarczająco atrakcyjne, by — przełożone na język artystyczny — zaspokajać jego ciekawość i pobudzać wyobraźnię, że w pierwszych latach zetknięcia dziecka z lekturą bardziej celowe dla wzbogacenia jego psychiki jest swoiste ujęcie najprostszymi tematami niż zakomplikowanie oryginalnym pomysłem. Żądza nowości budzi się u dziecka wówczas dopiero, gdy jego reakcje emocjonalne i podmiotowe przekształcają się w beztroskę zdolności widzenia świata rzeczy w całym ich bogactwie, dopóki się w nim nie wyzwoli instynkt poznawczy.

Gdybyśmy chcieli prześledzić choćby najbardziej charakterystyczne z tych motywów, musielibyśmy powtarzać wciąż te same nazwiska współczesnych pisarek dla dzieci: Porazińskiej, Januszewskiej, Krzemienieckiej, Zarembiny, Korczakowskiej, Świrszczyńskiej. A każdy z tych motywów będzie miał źródło w ludowej fantazji, w jakiejś prostej piosence czy przysłowiu, w takim czy innym regionalnym zwyczajach, słowem w zasobie rodzimej tradycji, którą dziedziczymy z pokolenia na pokolenie.

Na przykład: motyw pasania gasek czy owiec przez Kasie, Marysię czy Jasia. Tu trzeba wymienić przede wszystkim Porazińską „Pastereczkę” i jedną z uroczych historii w „Dwunastu z zapieką”, czy choćby wierszyk z „Pleciugowych nowinek” (nakł. Pieczętowskiego i Gieszczykiewicza). Albo Januszewskiej „Siwa gaska siwa” („Nasza Księgarnia”, 1946), mazowiecka opowieść o Kasi, która „gdzieś się zapatrzyła za błękitną łąką” a potem przyzywała piosenką gąski płynące po rzecze. Albo Korczakowskiej o Wojtusi, który w poszukiwaniu gąski trafił do pałacu niewidomej królowej („Jędrusowe bajki”, Trzaska, Evert i Michalski). Albo Krzemienieckiej „O gęsiarce Kasie” i cudownych listkach pani Jesieni („Książka”, 1948). Wreszcie Świrszczyńskiej „O owieczce Janosika” z cyklu tanichułych książeczek o dzieciach z całej Polski („Wesoła podróz po Polsce”, Wyd. M. Kot, Kraków, 1947). Poziom tych utworów niejednokrotnie. Trzy pierwsze utrzymały w stylu i na poziomie dotychczasowej twórczości ich autorek, następnie — ot, takie sobie wierszyki wytrzaśnięte z rekawa przez pisarki, które stać na to, by dały znacznie więcej.

Zbadać inny jeszcze motyw, rzadszy. O tym, co się dzieje w ogrodzie, nie w tym botanicznym, zachwalanym przez Hrabiego z „Pana Tadeusza”, lecz w najbardziej swojskim, personifikowanym zresztą na użytek dzieci pod niewątpliwym wpływem mickiewiczowskiego sadu. Tu warto wymienić spośród autorek dawniejszych opowieści wierszem Zofii Rogosówny „Dzieci pana majstra”, wznowioną nader słusznie choć w nieszczerzej szacie graficznej (St. Kamiński. wyd. V). Z dawnych utworów autorek piszących współcześnie chętnie przypomniemy sobie „Ogród króla Marcina” Zarembiny (czwarte wydanie ma się wkrótce ukazać). Ostatnio na tematyce „ogrodowej” oparł swą krótką opowieść o Pomidorze i Ogórku, które zapragnęły zwiedzić świat — St. Aleksandrak („Ogrodowe zuchy”, „Nasza Księgarnia”) oraz Maria Kędziorzyna w swej nowej powieści „Za rozbitą szybą” (Wyd. Gieszczykiewicza). Oryginalność ujęcia w drugiej książce polega na ukazaniu ogrodu nie od frontu, w pel-

niem słońcu, które uwydatnia kolorystykę ożywiających, i zagospodarowanych na grządkach warzyw, lecz jak gdyby — od kulis, rzecz dzieje się bowiem w piwnicy, stanowiącej zarazem domowy spichlerz i skład narzędzi. Ludzie są nie widzialni, natomiast główną rolę gra waga, worek, skrzynia, pajak, niepotrzeb, warzywa i rozbita szybka — bezpośredni łącznik ze światem „na górze”. Autorka postawiła sobie ambitny zamiar ukazania życia w piwnicy w takich konfliktach i związkach, jak gdyby to było życie zorganizowanego społeczeństwa. Postręki zła, wynikające z chęci szkolenia innym lub tylko z lenistwa, powodują destrukcyjne skutki w skali społecznej i w imię wspólnego dobra muszą być ukarane. To ujęcie alegoryczne i wyraźnie zaznaczony sens moralny (waga — uosobienie sprawiedliwego sądu) nie czyni jednak utworu zbyt ciężkim; sprawia to żywość dialogów, humor i dobitna charakterystyka postaci.

Na uwagę zasługują ilustracje Anny Seifert, przypominające w stylu nieźrówanego Sheparda, a to duży komplement.

Ilustrowanie przykładami niezliczonych motywów o charakterze swojskim zajęłoby zbyt dużo miejsca, z tej bowiem gleby wyrasta cała nasza literatura dla dzieci młodszych. Ludowe gadki i rodzime piosenki o tańczących Michałach, o Pleciudzie, lub o tym, jak to „cztery mile za Warszawą” ożenił się wróbel z kawką — wzbogacenie poetycką fantazją dają male arcydzieła, jak dzieje się to w cyklu wierszyków Januszewskiej „Jawor, jawor”. Temat jest tutaj tylko pretekstem, artystyczna inwencja — wszystkim.

W utworach egzotycznych sytuacja przedstawia się odwrotnie. Sam temat „gra” w sposób najbardziej bezpośredni, dla uzyskania efektu wystarczy czasem jedynie mechaniczne ugrupowanie elementów, a rysownik oraz inscenizator mają wspaniałe pole do popisu (przykładem „Dwa Michały” w krakowskiej „Grotosce”). Ot, choćby w „Koziołku Matolku” — pałac chiński „jak porcelanowy czajnik” i kupiec z Bombaju, który pada na twarz i woła „Sziwa wiwa! Ecze pece!” lub w „Sambor” Rogosówny — pomarańczowo pograwione tygrysy ubrane w części garderoby małego Murzynka i efekt gotowy.

Trzeba przyznać, że Anna Świrszczyńska w swej nowej, egzotycznej książce „Tygrys w kwiatach” (Wyd. T. Gieszczykiewicz, Kraków) nie poszła po linii tych łatwych efektów. Zaznacza się to w samym tytule, który jest egzotyczny — do kwadratu. Wydaje się, że przemalowując tygrysa, drapieżne zwierze, na różowo-kwieciste stworzenie (co jak co, ale ta okładka z różowym tygrysem pod secesyjnymi festonami trawistej kotary — nie jest szczęśliwą), autorka chciała zaznaczyć, iż władza jej poetyckiej fantazji jest absolutna, że nie po to wybrała temat egzotyczny, by poznać dziecko z elementami nieznaną mu rzeczywistości (jak to się dzieje w beletryzowanej pogadance), lecz dać mu na jej tle — jak gdyby artystyczne wariacje. Wariacje niewątpliwie zręczne i udatne. Meczyty i lektyki, broda szacha i tureckie bambosze, ananasy i prażony bób — wszystkie te rekwizyty — uplastycznione pięknymi, dowcipnymi i świetnie wmontowanymi w tekst ilustracjami Szancera, mienia się na kartach książki nieczym kunsztowna mozaika. Forma nieregularna, swobodnie płynąca wiersza o wyraźnie zaakcentowanych i świeżych asonansach (osuwają dziecko z łatwo dostępnym rytmem niezupełnym jest pożytecznym wstępem do zerwania z tyle-

kość, łatwo zrozumiałe i wpadające w ucho. Nad tymi wierszami dziecko nie powinno myśleć, powinno je słyszeć, przeżyć uczuciowo, powoływać, uśmiechnąć się lub zadziwić, w żadnym jednak wypadku się nimi znużyć czy znudzić. Wiersze dla najmłodszych to bajdy, bajdurzenie w formie poetyckiej, gdzie treść jest nijaka, czasem nawet bezsensowna, zwykle bez większego znaczenia, za to słowo — musi być pełne poezji, wdzięku, precyzji i plastyczności. Wiersz taki musi swą funkcję kształcącą spełniać jedynie przez przyzwyczajanie do prawdziwej poezji i osłuchiwanie z nią, **zrozumienie** przyjdzie dopiero w latach dojrzalszych. Dlatego wiersz dla najmłodszych jest najtrudniejszy do napisania, dlatego dziedzina ta leży odległym. Mało jest dotychczas talentów tego typu, ale wiersze Ewy Zarembiny stanowią tutaj rzadki wyjątek, realizując w pełni przedstawione założenia. A realizują je zarówno w odniesieniu do wierszy dla najmłodszych, jako lektury czysto rozrywkowej, jak i w stosunku do ich odmiany „kształcącej” umysłowo.

Jak się to dzieje? Klasykiem przykładem tej realizacji jest tom „Aaa kotki dwa”¹⁾. Ewa Zarembina spożytkowuje tam motywy piosenek i bajek, bardzo chętnie używa formy kołysanki, która uspokaja

¹⁾ Ewa Szelburg-Zarembina. „Aaa kotki dwa”. Il. Z. Fiałkowska. Wyd. III. Gebethner i Wolff. Warszawa 1947.

²⁾ Ewa Szelburg-Zarembina. Wesołe historie. Wyd. II. Księgarnia Naukowa. Toruń 1948.

³⁾ W miasteczku Zapakowie. Il. J. Bocianowski. M. Arct. Warszawa.

⁴⁾ Towarzysze. Il. J. Beldowska. Państw. Zakł. Wyd. Szkolne. Warszawa 1946.

⁵⁾ Po nocy do kłębka. Il. A. Biersacka. Łódzki Instytut Wydawniczy. Łódź 1947.

⁶⁾ Mali Braciszki. Il. M. Hiszpańska. Sp. Wyd. Wiedza, Warszawa 1947.

⁷⁾ Podróż po mieście. Il. W. Siemiatkowski. Nowa księgarnia. Warszawa 1948.

Krystyna Kuliczowska

Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■

TADEUSZ BREZA

Jubileuszowy „Fantazy”

Teatr Polski w Warszawie obchodził zeszłego tygodnia swój jubileusz. Trzydziestopięciolate! Z tym jubileuszem wiązał się drugi jubileusz, jubileusz Arnolda Szyfmana, który czterdzięci lat temu po raz pierwszy został dyrektorem teatru. To jeszcze żaden rekord. Rekordem jest suma lat dyktury Szyfmana w Teatrze Polskim. Dwadzieścia pięć lat dyktury w jednym teatrze — to rekord europejski, a może nawet — jak twierdzi Karol Frycz — rekord dziejowy. Rekord, tym większe budzący zdumienie, że padł w naszym kraju, w kraju zmian, wojen i rewolucji, ciągle przewracających wszystko do góry nogami. Pisał już o tym ktoś niedawno i wyliczył, że po ostatnim przewrocie znalazł w Polsce tylko trzech ludzi, którzy się utrzymali na swoich dawnych wzniesieniach: Sapieha na Wawelu, Szyfmana na Teatrze Polskim i Iwaszkiewicza na Stawiskach. Te trzy osoby powinny razem obchodzić jakiś jubileusz za wytrzymałość.

Teatr Polski trzydziści pięć lat temu wystawił na swoje otwarcie „Irydion” Zygmunta Krasinskiego. Teraz zaś na swój jubileusz wystawił „Fantazy”, który — jak wiadomo — jest pamfletem na tego Zygmunta. Pewnie stało się to przypadkiem, bo najczęściej wszystkie te zdarzenia, otwierające nagłe i nieoczekiwane perspektywy, zachodzą przypadkiem. Przypadek jednak trzeba, że to zestawienie „Irydion” i „Fantazy” — ma swoją wymowę. Wielki, karkołomny i nadnaturalny „Irydion” i właśnie z takich karkołomności i nadnaturalności powstawały „Fantazy”. Czy znaczy to, że „Fantazy” jest lepszy i mądrzejszy? Nie sądzę i w to nie wchodzę. Jest nam tylko bliższy i bardziej nam, bardziej w czasie. Nadaje się lepiej do przedstawienia na wielki dzwon dzisiaj, tak samo jak „Irydion” nadawał się tamtej epoce, której dech zapierała, kiedy słuchała „Irydion”, a która — jak informuje Lorentowicz — niecierpliwił „Fantazy”, że taki nie na serio. Nam dzisiaj wręcz odwrotnie: właśnie arcywzrosła i arcyromantyczny „Irydion” może się wydawać nierzeczy, a właśnie realniejszy i bardziej trzeźwy może się wydawać „Fantazy”, chociaż też jest przesycony po brzegi romantyzmem. Tylko że innym, bardzo specyficznym. Romantyzm w „Fantazy”, to romantyzm — jakby powiedział Zawieyski — pełen w stosunku do siebie pokory i dystansu, czy też — jakby powiedział Ważyk — romantyzm, który siebie poddaje samokrytyce.

„Fantazy” nosi drugi tytuł „Nowej Dejaniry”. Zanim przejdę do nowej, wspomnę najpierw kim była stara Dejanira. To żona Herkulesa, który był wielkim silaczem, ale kiepskim pływakiem. Toteż kiedy się znalazł razem ze swoją panią nad pewną rzeką, musiał skorzystać z pomocy centaury Nessusa, by mu przeniósł połowicę na drugi brzeg. Potem się jednak zirytował, jak się irytuje każdy mąż na widok innego mężczyzny, który coś lepiej potrafi, i wpakował mu strzałę w zadek. Mit ten, którego mi się nie udało opowiedzieć z należytym szacunkiem, jest w swej wersji autentycznie miłym bardzo serio. Nie u Słowackiego! Nowa Dejanira u Słowackiego to stara, śmieszna baba z „twarzą kuchcią” w fontaży czerwonym, której porwanie nastąpiło przez nieporozumienie. Z tej całej historii i z całego mitu Słowacki pok-

piwa. Podaje go w zmodernizowanej wersji: śmiesznej. Tak więc nie tylko zdobywa się na dystans w stosunku do pasji romantyzowania, ale i do pasji mitologizowania. Mało mu tego! W „Fantazy” również drwiąco przysłuchuje się temu, co musiało mu być najdroższe jako romantykowi: zwłaszcza poetyckiej mowie. — „Tej — jak powiada sam — kaszy z gwoździ, z dyamentów — z kwiatów”...

Ciekawe, że ten półdrwiący stosunek do własnych środków i do własnej postawy w „Fantazy” jeszcze dodaje głębi stosunkowi Słowackiego do cudzych postaw i do cudzych spraw. Jakos tu w „Fantazy” wszystko jest bardziej ludzkie, głębsze, delikatniejsze. Złazcza przy lekturze raz po raz odnosi się wrażenie, że to przesycone przekorą traktowanie obowiązującej ówczesnej religii artystycznej — mówię o romantyzmie — wzbogaca inwencje i zbliża Słowackiego do ludzi. Odrzuca od baśni, od legend, od historii, osadza we własnej współczesności. Słowacki pisze „Fantazy” w r. 1841, w tymże roku, w którym „Fantazy” niby to się dzieje. Pisze go z ogromną swobodą, śmiałością, coraz to wyskakuja mu spod pióra sceny bez żadnych literackich filiacji, zdumiewające świeżością i siłą. Akt piąty „Fantazy” z niczym się nie da porównać. Z dwu połów złożony, z pierwszej — gdzie Fantazy rozpiera o samobójstwo, tyle, tak pięknie, tak oszalałymi, i z drugiej — gdzie major popiera samobójstwo tak skromnie, tak po prostu. Gdzie u Słowackiego scena takiej siły? Gdzie podobna w literaturze? A hrabina Idalia, ta „rozwódka, sąsiadka”, w pierwszym akcie półśmieszna, jak się od swojej śmieszności zwolna, po ludzku, oddala, jak — i ona także „cudownie ogromnie”. — Zdaniem historyków literatury, to pani Joanna Bobrowa, w której się podkochiwał Słowacki, a Krasinski znalazł kochankę, bijąc Słowackiego na głowę. Stąd przy przenoszeniu tego modelu na papier zamierzano przez Słowackiego ciępkosć Stąd również, w miarę pisania, zmiana. Bardzo zresztą charakterystyczna. W miarę pisania bowiem model przestaje być dla pisarza wspomnieniem, a zaczyna być jak ktoś obecny. Jeżeli czarował, zaczyna z powrotem czarować.

Teatr Polski przygotował się do jubileuszowego spektaklu z niezwykłą starannością. „Fantazy” powierzył znakomitemu, jak zawsze, Wiercińskiemu, oparł w przeszłości na dekoracje Roszkowskiej, oparł w delikatną muzykę Lutosławskiego. W sumie odniósł zwycięstwo, zastawił się, a postawił. O lepszym „Fantazy” marzyć dzisiaj było by nie realne. Zresztą należy on do utworów, które trzeba na scenie nie tyle zagrać, co wywołać, jak ducha na seansie. Czasem szczytowa obsada nie da rady, a uda się w innej. Podczas jubileuszowego przedstawienia ten duch w wielu scenach się ukazał.

Kogo na pierwszy ogień wymienić? Jana Kreczmara, który zapewne w strachu bożym wziął po Osterwie tę rolę, grywaną przez niego jeszcze po wojnie. Kreczmar był interesującym Fantazy. Złazcza kiedy drwił i rezonował, w partiach lirycznych wydawał się za ostry, za suchy, w partiach wariackich za mało przekonujący. W wielkiej scenie dramatu, w której idąc do grobu jeszcze czaruje, był za mało urzekający. Musiał nawet Idalię za rękę pociągać, wlec na siłę, by uczynić jej postępowanie, jej kroki do grobowca, gdzie

mają się oboje zabić, prawdopodobnie. Sam głos Kreczmara, samo słowo nie wystarczało. A hrabina Idalia Janiny Romanówny? Trochę wiersz cięła na cząstki, ale ile miała liryzmu. Jak pięknie odwzorowała powrót do domu na początku czwartego aktu. No, a jakież portretowy wygląd, ile gracji! Podobnie Elżbieta Barszczyńska, jako Diana, prześliczna, żarliwa, a jaka godna w słynnej reprimendzie dawanej Fantazemu pod koniec pierwszego aktu. A hrabina Respektowa? Kreczmarowi i Respektowej Leszczyńska. Mówiła wiersz jak anioł, wyglądała jak posąg, tylko traktowała swoją hrabinę za poważnie. Miła, żywa znakomicie podająca tekst Stelkę wyszukała sobie teatr w osobie Zofii Mrozowskiej.

Doskonałym Janem, zestanym na Sybir w soldaty, był Mieczysław Milecki, z roli na rolę coraz większy i głębszy artysta. Jego pieśń w drugim akcie — „Jam nie wasz!” — ni to śpiew, ni to wycie, poruszała do głębi. A rozmowy ze Stelką, z majorem, z księdzem Logą. Wyborom! Księdzem był Brydziński. Świetny artysta. Ilekćliwsi miał w sobie jego kapłan-dziaduś. Respektem był Bracki. Bardziej ojciec niż wielki pan. Oczywiście mówiąc już w skali oceni. Na koniec — Aleksander Zelwerowicz, chwala naszego teatru, jak zawsze pełen animizmu i subtelności. Rola majora to dla niego coś na jeden zab. Kto wie nawet, czy nie zanadto na jeden Uderzało to w ostatniej scenie, w wielkiej arii konającego starucha, tej arii, która najczęściej się tak widziwoi duży, nieprawdopodobnie. Mimo niezwykłego talentu Zelwerowicza, w tym spektaklu przygotowanym na jubileusz duży się też. Major jęczał, i tylko jęczał. A przecież to umiera żołnierz, który tymi niekończącymi się opowieściami trzyma się resztek życia, tymi opowieściami i refleksjami, które, przynajmniej w lekturze, mają ton żywy, gwałtowny. Toż nawet hrabina Idalia w pewnej chwili woła: — „Na Boga, Majorze! Krew ci się rzuca do rany... mów spokojnie!” U Zelwerowicza monotonny cień śmierci padł na całą scenę. Przygasił tempo.

Wspomniałem już o dekoracjach. Piękne były! Wspomniałem o reżyserii, świetnej! Można by się jednak spierać o samą zasadę przedstawienia. To był najbardziej jubileusz niż „Fantazy”. Z większym naciskiem położonym na to, co jest głębią w sztuce, niż na to, co jest w niej zabawą. Na to, co jest w niej stylem, niż na to, co jest w niej drwiną. Przez znaczną część sztuki Słowacki ironizuje, robi z Idalii i Fantazy parę wariatów. Zgodnie zresztą z ich prototypami, o których nawet powściągliwy ojciec Zygmunta, stary generał Wincenty pisał: — „Jam zmęczony głupstwem Zygmunta z p. Bóbr, które z nich więcej wariat, nie mogę osądzić”. — A gdzie indziej: — „W całej tej awanturze nie ma nic miłości, jest kaprys, imaginacja i zdaje mu się, że jest bohaterem romansu i wiktimo przesądów i władzy rodzicielskiej”. — Tej ironii i imaginacji, i kaprysu mało było w spektaklu. Głównie u Roszkowskiej, która dała dekoracje śliczne, lecz zrównoważone. Nabudowała salonów, krzyżów i drzew, cudownych, zwłaszcza jeśli chodzi o te pierwsze. „Fantazy” w nich jednak spowiadał. Ale nie wybredzajmy! Spektakl był piękny. Jeden z najlepszych. Taki, którego się nie da zapomnieć.

Tadeusz Breza

SPRAWY

Od Knyszyna do Przysietnicy od Reclawia do Piastowa

Fakty, od jakich rozpoczyna, uważam czytelnikowi prasy literackiej znane są częściowo z wielu relacji uczestników. Oto z wiosną bieżącego roku Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika” urządził przy współudziale Związku Zawodowego Literatów Polskich wielki i pozbawiony dotąd wzoru najazd pisarzy na wieś polską. Najazd miał na celu zbadać zakres i możliwości czytelnictwa w miejscowościach i wiośniach tak dobranych, by z siecią, jaka je zagarnęła, mogła powstać pewna przeciętna prowincji i wsi polskiej. Nie piszę głębokiej i dalekiej, ponieważ ta prowincja rozpoczyna się nieraz o krok za rogatkami większych miast, a nawet wkracza na ich przedmieścia.

Najazd objął bez mała sto miejscowości, mniej więcej równomiernie rozłożonych na obszarze całego państwa, wzięło w nim zaś udział dwudziestu sześciu pisarzy. Ponieważ pisarzy było mniej aniżeli miejscowości, łatwiej nam przyjdzie wymienić ich nazwiska:

Tadeusz Breza, Roman Bratny, Wojciech Bąk, Jan Brzechwa, Stanisław Czernik, Maria Dąbrowska, Franciszek Gil, Zdzisław Hierowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kamińska, Kazimierz Koźmiewski, Anna Kowalska, Tadeusz Kudłinski, Jalu Kurek, Hanna Malewska, Gustaw Morcinek, Stanisław Pięta, Ksawery Pruszyński, Aleksander Rymkiewicz, Władysław Rymkiewicz, Michał Rusinek, Kazimierz Zenon Skierski, Janusz Stepowski, Wilhelm Szewczyk, Ewa Szelburg-Zarembina, Jerzy Zawieyski.

Jak widzicie, wśród tych partyzantów nie zabrakło najgrubszych szyszek literackich. Piszę najazd, piszę partyzantów, ponieważ pisarze wyjeżdżali do owych wszystkich Końskowoli, Obgrazowów i Rozłazów niezapatrzeni w żadne dokładne instrukcje czy kwestionariusze, ale po prostu — zasięgając języka w bezpośredniej rozmowie, w bezpośrednim kontakcie z mieszkańcami Kokawy, Lubczy i Sielunia. Jak na podjęcie, jak na zwłazdę. Można było wątpić, czy tego rodzaju metoda da jakieś obiektywne wyniki. Czy z zeteknięcia się pisarzy z egzotycznie rozmaitą prowincją i wsią polską wyłknie więcej nad barwny, a nieraz ponury reportaż z tzw. „terenów”. (Nienawidzę tego słowa! Ilekroć przyjdzie do Warszawy i szukać osobnika nie zastaniesz w ministerstwie, powiadają: „Wyjechał w teren”. Za Aninim i Sześciłwami wszyscy dookoła jest tylko „teren”. Kraków — teren, Gdańsk — teren, Wrocław — teren!).

Ogłoszone wrażenia uczestników najazdu tej wątpliwości nie rozwiewały. Dopiero w opublikowanej niedawno przez Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika”

pracy zbiorowej „Badanie Czytelnictwa” znajdujemy rozprawę Konrada Bartoszewskiego pt. „Czytelnictwo na wsi w wypowiedziach pisarzy”, która nie tylko usuwa wszelkie wątpliwości, ale — nie sprzedajmy wniosków. Wymienione opracowanie przeczytałem jednym tchem, a pokreśliłem jak mało którą książkę. Niestety, do bibliofilów nigdy mnie nie przyjmą. Cóż się bowiem okazuje? Właśnie ta partyzancka metoda dała wyniki nie mniej ważne aniżeli skrupulatna i według wszelkich zasad zbiorowego wywiadu przeprowadzona ankieta.

Ujmuję to Bartoszewski w następujących zdaniach: „Zebrane w ten sposób materiały, nie na drodze jakiejś metody badawczej, ale po prostu drogą indywidualnych, często przypadkowych spostrzeżeń, ułożone w pewnym stopniu od postawy pisarza, są mimo pozorów obiektywności materiałem subiektywnym. Może się to wydać paradoksem, ale ten moment przesądza o swoistej wartości tego właśnie sposobu badania. Jeśli zważymy, że dwudziestu kilku pisarzy o różnej postawie ideowej, różnymi sposobami w różnych warunkach i w różnych środowiskach dochodzi do tych samych wniosków i uogólnień, to nie ulega kwestii, że wnioski te mogą mieć nie mniejszą wartość niż wnioski oparte na materiałach, zebranych za pomocą ankiet losiowych”.

Jakież są te wyniki? Tak nieoczekiwanie obfite i urozmaicone, że z mnożstwą zagadnień, jakie z relacji pisarzy Bartoszewski formuluje w sposób naprawdę inteligentny i rozumny, tylko niektóre zdołam podać w bieżącym tygodniu. Te mianowicie, które mówią, gdzie czyta się na wsi książki i jakie to książki czytać się pragnie. Te zaś, które mówią, gdzie w Polsce się książek nie czyta, nawet w rozmiarach tak słabego czytelnictwa jak czytelnictwo wiejskie, które również mówią, dlaczego się nie czyta — nastąpią za tydzień.

Chociaż tak temat dziele, wszystko co napiszę mieć będzie jedynie charakter próbki i dowodu. Próbkę zachęcającą każdego, kogo obchodzi zagadnienia czytelnictwa, by sięgnął do opracowania Bartoszewskiego. Dowodu na twierdzenie, że pisarzom udało się pochwycić języka w sprawach najbardziej ważkich. Te sprawy najbardziej ważne dotyczą istotnych problemów czytelnictwa wsi. Kogo więc najchętniej czyta? „Więć czyta klasyków, bo ci dają jej powieści zrozumiałą i realistyczną w formie, choćby nawet najbardziej fantastyczną w treści. Więć czyta chętnie klasyków, bo problematyka ich powieści jest idealistyczna, stwarza pewne wzorce idealne, porządkuje wyobrażenia człowieka prostego o życiu, stwarzając sze-

reg typów, daje miarę, którą może on przykładać do ludzi żyjących, oceniać ich i klasyfikować, słowem ułatwia mu ocenę życia, uczy o kategoriach i wartościach moralnych”.

Skąd taki właśnie układ upodobań? Bartoszewski trafnie go wyjaśnia następującymi okolicznościami: „Więć naszym stopniem swego rozwoju kulturalno-narodowego odpowiada w pewnym stopniu środowiskom, które wydały w swoim czasie pisarzy klasycznych. A raczej środowiskom, które zapewniły powodzenie ich twórczości (to raczej jestem skłonny tymczasem podkreślić — przypisek k.j.w). Więć wchodzi w okres pełnego asymilowania tych wartości, które stanowiły główną podniektę dla pisarzy klasycznych. Więć chce przyjąć i przyswoić sobie wszystko, co stanowi o charakterze narodu wraz z jego tradycją włącznie, chce włączyć w posiadanie na własność całą jego bogatą historię i tradycję”.

Nie tylko to! Więć widzi również w książce drogę awansu kulturalnego, sposobność do otwarcia okna na szeroki świat. Widzi to pod każdym względem. „Wszyscy bez wyjątku rozmówcy wypowiedzieli się przeciw gwarze w tak zwanej literaturze wiejskiej. Gwara — w ich przekonaniu — obniża wartość książki przeznaczonej jakoby tylko dla jednego regionu lub jednej klasy społecznej”. Podobnie wieć patrzy na książki ograniczone swoim tematem wyłącznie do środowiska wiejskiego. „Wydaje się, że gdyby tak postawić przeciętnemu czytelnikowi wiejskiemu do wyboru książkę o tematyce wiejskiej i nie-wiejskiej, to według wszelkiego prawdopodobieństwa należało by przypuszczać, że wybór padłby na tematykę nie-wiejską”.

Miałem pisać, a tymczasem cytuję i cytuję nieczym sam Kazimierz Czachowski. Dlatego, ponieważ rozprawa Bartoszewskiego tak jest skondensowana i napeczniona od zagadnień słusznie rozwiązanych, że wystarczy wybierać i cytować. Tyle o próbkach. Dowód zaś zapowiadany wynika stąd sam: wiośniana wyprawa partyzancka pisarzy na wieś polską wydała pełne owoce. Nie znaczy to, aby jedynie w sposób dorywczy i improwizatorski należało badać zagadnienia czytelnictwa i upodobań czytelników. Wyprawa ta stanowiła jedynie fragment szeroko pomyślanej naukowo przeprowadzonej akcji badań czytelnictwa. Była czymś w rodzaju pytania krzyżowego, mającego sprawdzić wartość danych osiągniętych za pośrednictwem innych pytań. Sprawdzenie się powiedlo.

A gdzie się w Polsce nie czyta na wsi, dlaczego się nie czyta i czego się nie czyta — za tydzień.

k.j.w

Notatnik muzyczny

Prostota czy prostactwo? O „Kwartalniku Muzycznym”

Pojawienie się pierwszego od wojny, podwójnego numeru „Kwartalnika Muzycznego” (Rok VI, nr 21-22, styczeń — czerwiec 1948, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Warszawa — Kraków) jest wydarzeniem,

które powinno się odbić głębokim echem w naszym środowisku muzycznym. „Ruch Muzyczny” wydawany w Krakowie i wychodzący 2 razy na miesiąc jest pismem, którego zasięg ma być szeroki. „Kwartalnik” jest bardziej specjalny, ma się do „Ruchu” tak jak np. „Twórczość” do któregoś z naszych tygodników literackich.

Wznowienie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki „Kwartalnika Muzycznego” świadczy o wielkim zrozumieniu podstawowych zagadnień artystycznych. Sztuka jest dziedziną, której ostatecznym celem i idale jest prostota. Jednakże, aby je osiągnąć, należy się do niej wnieść i należy wyjść na jej szczyty, a nie schodzić w dziedzinę, w których zamiast wielkiej prostoty panoszy się, tanie prostactwo. O różnicy tych dwu pojęć warto mówić właśnie teraz, gdy toczy się otwarta walka o dostępność, popularyzację i zasięg sztuk pięknych. Celowo i świadomie podkreślam różnicę tych pojęć, która jest równie wielka, jak różnica pomiędzy nieudolnym „przrzędzeniem” pięknej piosenki ludowej a jej pierwotnozorem czy pieśnią Schuberta.

Prostota w sztuce to rzecz paradoksalnie złożona. „Pan Tadeusz” jest niewątpliwie prosty, jednakże jego autor poznał całe piekło artystycznych komplikacji, zanim sobie na ten tak prosty wyraz mógł pozwolić. Chopin — zresztą, wcale nie tak prosty dla wszystkich, gdy pisał swe dzieła — trawił długie godziny nad wyszukiwaniem najprostszego kształtu dla swych pomysłów muzycznych.

W pierwszym po wojnie numerze „Kwartalnika” znajdujemy wstępnie pracę prof. A. Chybińskiego o Wacławie z Szamotuł (XVI w.), która wykazuje, jak silnie było tępno polskiego, i to czysto polskiego ruchu muzycznego na dworze Zygmunta Augusta.

Trzy prace związane z twórczością Chopina są cennym przyczynkiem do zbliżającego się „Roku Chopinowskiego”. Ks. dr H. Feicht pisze o rondach Chopina, a dr L. Bronarski o mazurku i dwu niezna-

nych dotąd kompozycjach, z których jedną (Largo) przeznaczył m.ł. Chopin — zdaniem autora artykułu — na hymn narodowy. Jest to chorał w typie „Boże, coś Polskę”.

Dr Łobaczewska publikuje wstęp do monografii o Karolu Szymanowskim, a dr Chomiński analizuje jego sonaty fortepianowe. Dr Późniak pisze o niezrealizowanych operach Moniuszki.

Aktualny wydźwięk ma praca dr Lissy o „aspekcie socjologicznym w polskiej muzyce współczesnej”. Pracę tę omówię osobno, wraz z artykułem tej autorki w nr 1 „Nowych Drog”, artykulem St. Kisielewskiego w nr 10 „Znak” („Czy muzyka jest niehumanistyczna?”) i wypowiedziami radzieckimi (Zdanowa, Chrennikowa, Szaporina). Artykuł prof. K. Regameya w „Kwartalniku” („Próba analizy ewolucji w sztuce”) dorzuca wiele głębokich uwag do tego tak żywo dziś dyskutowanego zagadnienia. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania tu zdania z „Testamentu artystycznego” Rodina, który nie był zym ani „hermetycznym” rzeźbiarzem: „Bądźcie głęboko, brutalnie szczerzy. Nie wahajcie się nigdy wyrażać tego, co czujecie. Nawet kiedy znajdziecie się w opozycji do ogólnie przyjętych idei. Może nie zostaniecie od razu zrozumiani. Ale odośobienie wasze potrwa krótko; wkrótce będziecie mieli przyjaciół. Co jest bowiem głęboko prawdziwe dla człowieka, jest prawdziwie również dla wszystkich”. Nie potrzeba chyba dodawać, że słowa te odnoszą się do tych, i tylko do tych, którzy istotnie „mają coś do powiedzenia”.

Dr Z. Estreicher nadesłał ciekawą pracę o melodie Eskimów, z której każdy muzyk wyczysta stare i zawsze te same „prawdy zawodowe” — czy dotyczą one prymitywu, czy też szczytów twórczych. Artykuł prof. Romaniszyna „o technice wokalnej wobec środków muzyki mechanicznej” i dział sprawozdawczy zamykają ten numer, który sygnalizuje wszystkim miłośnikom i amatorom muzyki.

Zygmunt Mycielski

• Książki • Książki • Książki • Książki •

BELETRYSTYKA

„MYSTKOWICE, WIOSKA MAŁA”

Juliana Gałaja

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, Warszawa, 1948, str. t. I — 224, t. II — 400, t. III — 292.

Na kilka lat przed wojną ukazała się książka prof. Józefa Chałasińskiego pt. „Młode pokolenie chłopów”. Na olbrzymim materiale ankietowym, obejmującym kilka tysięcy pamiętników i życiorysów, oparł Chałasiński swoje studium nad nędzą wsi polskiej. Wstrząsająca książka socjologa w sposób oczywisty obrazowała przechodzenie młodego pokolenia chłopów na pozycję coraz bardziej zdecydowanego radykalizmu. Była to książka naukowa, której teksty przedrukowywanych odpowiedzi chłopów na ankietę opatrzył beznamiętnym naukowym komentarzem. Mimo to czytało się ją jak ciekawą powieść. Nie jest to chyba przypadek, że właśnie w pierwszych latach wojennej działalności wydawniczej ukazała się książka, która to, co socjolog udowodniła tokiem naukowego wywodu, zaświadcza powieściową konstrukcją gromady ludzkiej, — książka, która obrazuje to, co ukazywał socjolog. Mowa tu o „Mystkowicach wioska mała”.

Gałą maluje obraz środowiska środkami właściwymi dla tego ga-

tunku prozy, a jednak — czyta się tę ciekawą powieść jak pasjonujące naukowe studium. Autor opisuje w niej koleje całej gromady — wsi łowickiej, począwszy od lat sprzed pierwszej wojny światowej, aż po czasy bezpośrednio poprzedzające wrześniowy upadek Polski. Z ostatniego czytanych przez raski przygotowywanych do druku części książki widzimy, że wydarzenia tej powieści podobnie jak w pierwszych trzech wydanych częściach, opisujących tak dawne zdarzenia, były siłą — towarzyszą nam dniom. I w tych bowiem częściach autor zaświadcza, że rewolucja dokonana w naszych oczach była wyznaczona w sposób nieuchronny najpierw przez zacofaną ślepotę zabierających rządów, potem przez zgubne praktyki społeczne i gospodarcze sanacji.

W książce tej uderza historyczne ujęcie tematu — każdy watek życiowy i ideologiczny prowadzony jest przez całe wielkie okresy czasu, które zawsze w sposób swoisty — inny dla każdego okresu — udowadniają rację stanowiska autora.

Książka Gałaja jest nie tylko powieścią ciekawą, odznacza się przy tym odpowiedzialnością sądu rzadko spotykaną w literaturze beletrystycznej. Krytycy, którzy skarżyli się na braki formalne, na niedostatek akcji w tej powieści, zlekceważyli widocznie wielość przeżywanych się w książce wydarzeń, zmyliłi właśnie tą świeżością ujęcia tematu, polegającą na tym, że książka pozbawiona jest głównego

bohatera, który tradycyjnie skupiając na sobie uwagę czytelnika, w istocie rozprasza ją, kierując na anegdotę zamiast na sens wynikający z całej książki.

Komu nie obca jest ciekawość, jak żyła i dojrzała do wielkiej reformy wieś polska, ten niech sięgnie do Gałaja. Kto chce się nauczyć prawdy o przemianach wewnętrznych chłopskiego działacza — ten niech też sięgnie do Gałaja. A kto chce po prostu przeczytać ciekawą powieść — ten niech sięgnie do Gałaja.

Roman Bratny

„KRYSZTAŁOWA KULA KRZYSZTOFA KOLUMBA”

Wandy Wasilewskiej

„Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1948, str. 90 i 2 nl.

Życiorysy i romanse biograficzne mają niepowspornie znaczenie w ożywianiu czytelnictwa, gdyż te formy literackie posiadają wiele uroku dla odbiorców literatury i stanowią doskonały środek przekazywania wielu zagadnień o dużej wartości ideologicznej lub wychowawczej — zarówno młodzieży, jak i innym kategoriom czytelników. „Kryształowa kula Krzysztofa Kolumba” Wandy Wasilewskiej dzięki wyjątkowemu zaletom zajmuję w tym typie utworów nieposł-

nie miejsce. Stanowi ona właściwie całkowity życiorys Krzysztofa Kolumba, ale punktem wyjścia dla autorki i sprawą przyczyn, które pchnęły Kolumba na jego drogę żeglarską — jest okres młodości. Dążenie do sławy i tęsknota za nieznanym i za przygodą — są istotną treścią książki. Dzięki temu staje się ona od razu bardzo bliska młodocianemu czytelnikowi, którego pociąga przygoda, podróż, egzotyzm. Morał książki (pozytek społeczny) podróży odkrywczych jest decydujący dla ich znaczenia i nagradza gorzyc sławy, cierpienia, oraz ostaje się jako jedyny istotnie wartościowy bodziec wszelkich poczynań i dalsze koleje bohatera, mimo że pokazane są w skrócie, stają się w ten sposób zupełnie czytelne.

Proza Wasilewskiej ma dużo poetyczności, jest w niej rytm i kompozycja o symetrycznej budowie, powtarzających się częściach, co potęguje napięcie emocjonalne i uporczywość pewnych sytuacji i nastrojów. Jej sposób odtwarzania barw, światła, wody, powietrza ma ogromną siłę sugestijną, która wynika z wielkiej prostoty wyrażenia i ostrego, wnikliwego widzenia barw Poludnia, których nasycenie jest odmienne od naszego. Walory literackie książki, dostępne dla młodzieży, czynią morał społeczny bardziej czytelny a upór, z jakim Kolumb dąży do celu, przekonywającym.

Aniela Mikucka

Wydawnictwa Ossolineum

Dzięki troskliwej opiece narodu i wydatnej pomocy finansowej Rządu, Ossolineum zadowoliło się we Wrocławiu na dobre. Zbiory biblioteczne, umieszczone w odpowiednim przestronnym gmachu na Szewskiej, służą od wielu miesięcy wrocławskimi polonistom, historykom i studiującym młodzieży. Bogate zaś zbiory rękopiśmienne, całkowicie uporządkowane i ustawione w pięknej zabytkowej sali, oddają cenne usługi nauce.

Przeniesiona na nowy teren zasłużona placówka kulturalna wznawia w pełni swoją działalność, zgodnie z 130-letnią tradycją zajmując poważne miejsce jako księgozbiór naukowy literacki i historyczny, warsztat pracy i jako wydawnictwo.

Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich jest organiczną częścią tej instytucji. Jego działalność łączy się ściśle z charakterem zbioru, jak również z naukową działalnością Ossolineum.

Praca biblioteczna - wydawnicza Ossolineum skupia się w tej chwili na druku przygotowywanego już przez współpracowników Biblioteki „Inwentarza Rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”. Dział rękopiśmienny wyszedł z pożogi wojennej stosunkowo najszybciej i przedstawia dziś dla nauki polskiej wartość bezcenną. Opublikowanie zawartości tych zbiorów było jednym z pierwszych postulatów wydawnictwa. Katalog Kętrzyńskiego wydany jeszcze w latach 1881 — 98 obejmował zaledwie 1500 pozycji. Inwentarze późniejsze, wydane przed wojną na cyklotypie, należały do rzadkości i nie odpowiadały obecnemu stanowi posiadania (doprowadzone do poz. 6600). Inwentarz przygotowywany obecnie wykaże około 10 000 rękopisów i wydzie w dwóch sporych tomach (ok. 60 arkuszy druku) już we wrześniu roku bieżącego, z okazji VII Powstania Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu.

W roku bieżącym Ossolineum wznowiło też monumentalną 16-tomową edycję „Dzieł Wszystkich” Juliusza Słowackiego pod redakcją Juliusza Kleina. Wydawnictwo to zapoczątkowane w r. 1922 nie zostało doprowadzone do końca: brakło tomów VIII, XII, XIII, XIV, XV i XVI. Obecne tomy to zostaną opracowane i wydane, ukaże się również poprawiona i uzupełniona reedycja tomów wydanych przed wojną.

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą śmierci Słowackiego Ossolineum rozpoczęło prace wydawnicze nad popularnym, 12-tomowym wydaniem jego dzieł przygotowanym przez Towarzystwo Literackie Adama Mickiewicza pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. Całość tego wydania ukaże się w pierwszej połowie przyszłego roku. W najbliższym czasie ogłoszona zostanie subskrypcja na to masowe wydawnictwo.

Ossolineum przystępuje również do ponownego, przeobrażenia i uzupełnienia wydania „Dzieł Wszystkich” Aleksandra Fredry, którego sześć tomów wyszło pod redakcją Eugeniusza Kucharskiego w latach przedwojennych. Krytyczne, naukowo opracowane teksty tych wydawnictw oparte są w znacznej mierze na autografach przechowywanych w zbiorach Ossolineum.

Dzięki tym zbiorom możemy przystąpić do pierwszego w dziejach polskiej literatury pełnego wydania dzieł Ignacego Krasickiego pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Szczególną wagę będą mieć tomy zawierające korespondencję Księcia Biskupa Warmińskiego, zbieraną pieczołowicie w ciągu wielu lat przez dyrektora Ossolineum śp. Ludwika Bernackiego, a opracowaną obecnie przez Tadeusza Mikulskiego.

Z literatury polskiej przygotowuje Wacław Borowy nowe, zrewidowane i uzupełnione wydanie „Antologii liryki polskiej”.

Niezależnie od pozycji powieściowych w „Bibliotece Narodowej” Ossolineum rozpoczęło cykl wznowień powieści polskiej „Madonna Busowska” Władysława Łozińskiego. W opracowaniu Wiktora Hahna zacznie się wkrótce druk Edmunda Chojeckiego „Alkhadara” w 4 tomach, „Annuncjata” Zygmunta Kaczkowskiego, Jana Lama „Głowy do pozłoty”, Walerego Łozińskiego „Szczepki i karmazyn” oraz „Zakłady Dwór”. Przygotowuje się do druku J. I. Kraszewskiego „Latarnie czarnoksięskie” w opracowaniu K. W. Zawodźńskiego, utwory powieściowe Władysława Łozińskiego „Koroniarza w Galicji” Jana Lama i wiele innych powieści.

Zgodnie z dawną i świetną tradycją Ossolineum podejmuje też wydawnictwa o charakterze historyczno-literackim i badawczym. Ukazał się „Zarys nowszej literatury ludowej” Stanisława Pigonia, jak również w jego przygotowaniu pierwszy tom „Wyboru pisarzy ludowych”, obejmujący publicystów i pamiętnikarzy. W druku jest tom II zawierający poetów i gawędziarzy.

W najbliższym czasie zainicjuje Ossolineum wydawnictwo seryjne „Wrocławskich studiów literackich” pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Tom pierwszy studiów: „Dzieje polonistyki wrocławskiej” T. Mikulskiego oraz tom drugi, poświęcony badaniom autografów liryków Leopolda Staffa, pióra Huberta Drapelli ukażą się w najbliższych miesiącach. W tej serii Ossolineum zamierza wydawać co najmniej po dwa tomy rocznie.

W związku z jubileuszem Mickiewiczowskim, wydane jeszcze w roku bieżącym książka Stanisława Kolbuszewskiego o „Panu Tadeuszu”, a w związku z rocznicą śmierci Słowackiego monografia o nim pióra Wiktora Hahna. W opracowaniu Antoniego Knota ukaże się „Antologia poezji polskiej 1848 roku”.

Wyszli już tom I „Zarysu historii literatury polskiej” Juliusza Kleina. Tom II doprowadzony przez Kazimierza Wykę do ostatnich czasów, jest w druku. Równocześnie prowadzi się prace przygotowawcze nad wydaniem nowego dwutomowego zarysu dziejów literatury polskiej, przeznaczonego do użytku szkolnego.

W dziedzinie historii zawarło Wydawnictwo wiele wiążących umów. I tak: Stefan Kieniewicz opracowuje wielką monografię źródłową „Ruch chłopski w r. 1846”, opartą o nowe nieznane źródła z archiwów wiedeńskich. Roman Grodecki przygotowuje „Dzieje handlu”. W toku wydania jest druga, uzupełniona edycja „Historii społeczno-gospodarczej średniowiecza” Stefana Ingłota oraz dwie wielkie monografie specjalne: prawno-historyczne dzieło Bogusława Leśnodorskiego o konstytucji Trzeciego Maja i książka zmarłego niedawno historyka Edmunda Długopolskiego o Władysławie Łokietku. Przygotowuje się również do druku studium Władysława Czaplińskiego o flocie Władysława IV.

Ogromne znaczenie dla nauki mieć będą dwie bibliografie: „Bibliografia bibliografii polskiej” Wiktora Hahna, doprowadzona do r. 1945 oraz uzupełnienia (1928 — 1948) do „Bibliografii pamiętników” Edmunda Maliszewskiego.

Specjalny dział w planie wydawniczym Ossolineum obejmują pamiętniki. W druku znajdują się obecnie „Wspomnienia” Jana Nepomucena Janowskiego, jednego z twórców manifestu demokratycznego, publicysty i polityka. Autograf cennych przyczynków do dziejów naszej Wielkiej Emigracji leżał dotychczas w Bibliotece Jagiellońskiej. Wspomnienia te ukażą się drukiem jeszcze w ciągu bieżącego roku w opracowaniu Mariana Tyrowicza.

Tak samo w druku znajdują się pamiętniki krakowskiego lekarza Fryderyka Hechla, pt. „Kraków i ziemia krakowska w 1848 roku”, jako uzupełnienie do wydanych już dawniej dwu tomów tego pamiętnika przez Towarzystwo Miłośników Historii Medycyny. Tom o roku 1848 opracowują prof. Szumowski i Henryk Barycz.

Karol Estreicher przygotował dla Ossolineum pamiętniki swego dziadka Karola, bibliografa, teatrologa, jednej z najciekawszych postaci Krakowa z połowy ubiegłego stulecia.

W przygotowaniu znajduje się również całość pamiętników J. U. Niemcewicza łącznie z niedrukowanym „Dziennikiem pobytu za granicą” oraz scalone „Pamiętniki” Kazimierza Władysława Wójcickiego, rozrzucone dotychczas po czasopiśmie, a odnoszące się do życia obyczajowego stolicy w pierwszej połowie XIX wieku.

Na VII Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu we wrześniu br. przygotowuje Wydawnictwo druk bibliofilski. Będzie to luźno związany z pamiętnikarstwem poemat Bohusza Zygmunta Steczyńskiego „Ślask”, w opracowaniu Franciszka Pajaczkowski (autografy są własnością biblioteki Ossolineum).

W tym samym czasie wydają również „Wspomnienia Ossolińskie” śp. Stanisława Lempickiego.

Ossolineum podejmuje także reedycję „Dzieł sztuki” wydanych przed wojną w opracowaniu zbiorowym profesorów Gąsiorowskiego, Gębarowicza, Szwińskiego, Tatarskiego, Żarnowskiego i J. Żurawskiego. Nowe to wydanie, zmienione i uzupełnione, zapewni poważną lukę na naszym rynku wydawniczym.

W przygotowaniu do druku znajduje się również duże dzieło Władysława Mołoty „Sztuka Słowian”. Ogarnia ono całość wielkiego zagadnienia i stanowi pierwsze jego ujęcie w nauce światowej.

W bieżącym jeszcze roku wjdzie studium Mieczysława Opałki „Drzeworyt w czasopiśmie XIX stulecia” z cennym słownikiem polskich drzeworytników.

Wznawiana w roku 1947 Biblioteka Narodowa przyniosła dotąd w Serii pierwszej 9 wznowień i 3 nowe tomy: „Młoda Polska” w opracowaniu Tadeusza Boya - Zelenieckiego „Rok 1848 w Polsce” wybór źródeł w opracowaniu Stefana Kieniewicza, J. T. Kraszewskiego „Jermola” w opracowaniu Juliana Krzyżanowskiego.

W Serii II poświęconej arcydziełom literatury obcej „Biblioteka Narodowa” przyniosła dotąd 5 wznowień (m. in. Moliere’a i home-ruskiego „Iliadę”, w druku jest w tej chwili „Odyseja”). Nowy tom „Jugosłowiańskiej epiki ludowej” w opracowaniu Mariana Jakóbca rozpoczyna szeroko zakrojony cykl opracowań z literatury słowiańskiej. Prócz tego przewiduje się wznowienie 10 dawnych tomów i wydanie kilku nowych, jak tłumaczenia „Bajek” La Fontaine’a, „Liryków” Heinego, „Wyboru liryków” Swinburne’a i l.

Jak wynika z tego krótkiego omówienia, oficyna Ossolińska mimo tak późnego startu, wchodzi już w pierwszy rok swoich poczyną z poważnym dorobkiem intelektualnym w odradzająca się z tak wielką prędkością naukę i kulturę polską.

hd

Z teki dr. Prota Sowizdrzała

Socjologiczna metoda

Ks. Jan Siemiński oddał następującą pochwałę salonowi hr. Ankwicza w Rzymie:

„Salonowi temu przypisać trzeba narodzenie się talentu powieścioparskiego w H. Rzewuskim. Pamiętniki Soplicy były napróżd opowiadane na wieczorach na Via Mercede, na których zaczęto zmuszać 40-letniego bajora, aby spisywał to, co opowiada. Z trudnością mu to przychodziło i kil-

ka lat jeszcze upłynęło, zanim przysłał Ankwiczm rękopis przed wydrukowaniem „Pamiętników (!) Soplicy”. Gdyby nie wieczory Ankwiczków, Rzewuski byłby prawdopodobnie nie pisał. Stefan Garczyński pozbył się u nich melancholii i mizantropii, Odyniec spoważniał, a 18-letni Z. Krasinski, będąc tam jak w rodzinnym domu, zajął się pierwszym blaskiem genialnych myśli...”

Metoda psychologiczna

Także Mickiewicz był w tym salonie, któremu literatura polska zawdzięcza narodzenie się tytułu sław. Nawet flirtował z córeczką hr. Ankwiczków. Ks. Jan Siemiński daje następujący komentarz psychologiczno-literacki:

„Uczucia serca swego z tej epoki opisał Mickiewicz w uczuciach Jacka

Soplicy. (Zbytecznym byłoby dodawać, że podobnie jak w części 4-tej „Dziadów” tak i w „Panu Tadeuszu” artysta dodał rysy, których w rzeczywistości nie było i np. ojca Ewuni nie zabił, podobnie jak Jacek w poemacie)”. (Ewunia”. Lwów 1883, str. VII i 43)

Podał do druku:

Wacław Kubacki

F I L M



„Monsieur La Souris”

film francuski

Mimo „ogórków” „Film Polski” dał na ekrany ciekawą i udaną próbę połączenia dwu przeciwnych gatunków filmowych: sensacyjnej komedii i dramatu. Trudno mi bowiem inaczej nazwać obraz, osnuty na kryminalnej fabule, której osrodkiem jest stary człowiek-włóczęga, patrzący na świat zdziwionymi oczyma dużego dziecka. Po stać tytułowa jest wielka kreacja Raimu. Zdania wygłaszane przezeń zawierają głęboką filozofię życia, która wzrusza właśnie swą bezpośredniością i szczerością.

Sa w tym filmie sceny głęboko dramatyczne ukazujące w sposób wzruszający bezradność starca-nadzwierza wobec potężnej maszyny śledczego prawa, wobec potęgi pieniądza, czy okrucieństwa ludzkiego. Tym trudniej pojąć, dlaczego właśnie te sceny większość widzów przyjmuje huraganem śmiechu. Reakcja sali jest czasem trapiącą: miało być się niekiedy ochotę poświęcić recenzję raczej ludziom patrzącym na ekran niż oglądającym przez nich filmowi.

Z dobrodusznego gledenia tego wykołajca, przebiega wyraźnie groza wielkiego miasta — obojętność na ludzka niedolę. Między wspaniałymi samochodami, między rozbowianymi ludźmi, drepcze przed wejściem do restauracji stary człowiek Nikomu nie jest potrzebny; przepędza go policjant. Każdy go lekceważąco „tyka”, choć dzieje się to w kraju, gdzie forma „vous” jest ściśle przestrzegana. Przypadek rzadzi losami monsieur La Souris. Przypadek pozwala mu na odkrycie morderstwa i mordercy. Los każe mu jednak po tych wszystkich przeżyciach wrócić do śmietnika, pograżyć się znowu w beznadziejnej nędzy, od której chciał uciec. Reżyser Lacombe u-miał podkreślić tę tragedię równie umiejętnie jak z tej przeróbki powieści Jerzego Simenon wydobycie jej niewątpliwie momenty humorystyczne. Reszta zespołu aktorskiego — dobrze zgrana, na równym poziomie. Intryga poprowadzona do końca, trzyma widza w napięciu.

Lucjan Wolanowski

KORESPONDENCJA

JESZCZE O DR. SCHREIBERZE

Do Redaktora „Odrodzenia”

Z prawdziwym zadowoleniem przeczytałem w 27 nr „Odrodzenia” wzmiankę o dr. Ignacym Schreiberze, zamieszczoną przez Sławomira Fofasieńskiego z Częstochowy. Mam wyrzuty sumienia, że zapomniałem podać nazwisko dr. Schreibera prof. Olszewiczowi, kiedy zbierał materiał do listy straci kultury polskiej. Znałem bowiem dobrze dr. Schreibera. Znajomość naszą zaczęła się w 1932 r., kiedy bezpośrednio po ukończeniu studiów objełem posadę nauczyciela historii w I gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Dr. Schreiber uzupełniał wówczas etat zajmowany w II gimnazjum im. Romualda Traugutta w naszym zakładzie, ucząc języka polskiego w jednej z klas. Dzięki wspólnym zainteresowaniom naukowym i pedagogicznym znajomość naszą zamieniała się wkrótce w serdeczną przyjaźń, a była ona tym mocniejsza, że pogłębiał ją podobny światopogląd.

Dr. Schreiber był nieprzeciętną jednostką w częstochowskim świecie pedagogicznym, o dużej wiedzy fachowej i głębokim intelekcie. Równocześnie był z natury bardzo nerwowym; w rozmowach ze mną

zdradzał nieraz objawy skrajnego pesymizmu, zwłaszcza jeżeli chodziło o sprawy polityczne i szybko wzrastający niemiecki hitlerizm. Dr. Schreiber wiele rzeczy trafnie przewidział, niestety nie doczekał realizacji swych przewidywań dotyczących głównie pogrzebienia Niemiec i zwycięstwa ideału demokratycznych. Przypuszczam, że jego śmierć samobójcza, która nastąpiła w chwili wkraczania Niemców do Częstochowy, była wynikiem własnego owego załamania psychicznego, nie można bowiem postrzegać natury takiej jak dr. Schreiber o jakiś lek przed prześladowaniami ze strony hitlerowców ze względu na żydowskie pochodzenie. Wiadomość o jego śmierci, przywieziona mi przez jednego z naszych wspólnych uczniów, przysłałem z wielkim bólem.

Upieram się prosić o podanie do wiadomości ogółu tych paru uwag, choć ta droga spłaci przynajmniej w części dług wdzięczności, jaki zaciągnąłem wobec dr. Schreibera, korzystając wiele z jego dorobku życiowego. Może uwagi moje zachęca i innych, a zwłaszcza uczniów dr. Schreibera, do podania również swoich o nim wspomnień.

Tadeusz Słowikowski
(Kraków)

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

»CO TYDZIEŃ POWIEŚĆ«

Janusz Meissner
Kornel Makuszyński

Na kawiarnianym Parnasie



rys. Karol Baranicki

Masa, to moja pasja! Szczególnie masa tortowa

WYDAWNICTWO

„PRASA WOJSKOWA”

LITERATURA PIĘKNA

ANTOLOGIA WALKI

1939 — 1945

Poezje

str. 227 Janina Broniewska

O CZŁOWIEKU, KTÓRY SIĘ

KULOM KŁANIAŁ

str. 122

Franciszek Fajl

ZESTRZELONY

str. 216

Kazimierz Gozdziowski

NA KURSIE 270

str. 64

G. Linkow

WOJNA NA TYŁACH WROGA

str. 296

Janusz Meissner

„WARSZAWA” — KURS NA

BERLIN

str. 232

J. Piorkowski

ŻYCIORYS WYKUTY KILOFEM

str. 64

J. B. Priestley

ZACIEMNIENIE W GRETLEY

str. 282

Jerzy Pytlakowski

FUNDAMENTY

str. 460

Wanda Wasilewska

KRYSTALOWA KULA

KRZYSZTOFA KOLUMBA

str. 86

Wanda Wasilewska

LEGENDA O JANIE Z KOLNA

str. 128

P. Werszyński

LUDZIE Z CZYSTYM

SUMIENIEM

str. 472

WIERZYSZE I PIEŚNI O ARMII

RADZIECKIEJ

str. 128

WOJSKOWOŚĆ

WOJSKO POLSKIE 1939 — 1945

str. 340

LUDZIE I ARMII

str. 340

PRZEWODNIK PO MUZEUM

WOJSKA

str. 192

ARMIA RADZIECKA

str. 152

O GEN. KAROLU

ŚWIERCZESKIM

str. 32

A. Wolkow

SAMOLOTY W WALCE

str. 328

POLITYKA

Włodzimierz Brus

OD WARSZAWY DO TRIZONII

str. 128

Engelbrecht i Hanighen

HANDLARZE ŚMIERCI

str. 376

Jermaszow

POLITYKA WALL STREET

str. 176

FALSZERZE HISTORII

str. 80

ZSRR W CYFRACH

str. 32

W. BRYTANIA W CYFRACH

str. 32

USA W CYFRACH

str. 64

SPORT

Józef Pieter

TESTY UZDOLNIEN

RUCHOMYCH

str. 61

Aleksander Reksa

PRAWDZIWI SPORT

str. 48

POPULARNA BIBLIOTECZKA

SPORTOWA

Zygmunt Weiss

BIEGI KRÓTKIE

str. 48

Wacław Sidorowicz

BIEGI ŚREDNIE

str. 80

Wacław Sidorowicz

BIEGI DŁGIE

str. 8

Wacław Sidorowicz

HIGIENA SPORTU

str. 48

Walenty Klyszejko

KOSZYKÓWKA

str. 48

Zygmunt Bielczyk

NARCIARSTWO

str. 48

Roman Roszko

UCZYMY SIĘ PLYWAĆ

I TRENOWAĆ

str. 72

Wiro Kiro

ZAPASY I SAMOBRONA

str. 48

ROŻNE

J. Perelman

MATEMATYKA NA WESOŁO

str. 160

MAPA EUROPY Z MAPKĄ

POLSKI